7754
II

7754
II

Rkp. 7754.

I

DIARY

Pani Żakierska

Alfred jej syn stud agronomii

Pani Żarska

Żofia jej córka narzeczona Alfreda

Morski

Henryka jego córka stud filz

Władysława jej przyjaciółka " "

Doktór Artur Belski

Jarzewska stud filz

Mieczysław Pilski stud prawo

Stanisławowa obsługaczka lat 50

Dwie panie z towarzystwa

" Głotnych Pieci "

III

Akt I

pokój Henryki. Henryka siedzi na otomanie, chusteczkę ma w ręku, znać, że przed chwilą płakała. Blada, zamyślona, nie spostrzega jak w drzwiach stanęła Stanisławowa, która patrzy chwilę na Henrykę, a potem pyta się nie śmiało: Panienko, czy potać herbatę? — Henryka spostrzega ją, wstaje z otomany i odpowiada prędko: Tak, proszę przynieść! — Stanisławowa wychodzi. Henryka idzie do półki z książkami, wybiera jedną, przejmuje kilka kartek, czyta przy pulpicie. Stanisławowa przynosi szklankę herbaty, stawia na stole, podprawia serwetę i na widocznym zamiarze nie

.. otrzjść otrazu.

Stanisławowa: Panienka to tylko płacze. Kiedy
wyjdę to pokaje to panienka ciągle
obiera oczy i płacze. Niewdzięcnica to ten!

Henryka: Głowa mnie boli, wezmę czyję się
miętrowę.

Stan: (znajduje) A tak, miętrowę.

Henr: Dostałam wczoraj list z domu. Ojciec
jest chory.

Stan: Hm! Ojciec chory, głowa boli, to
smutne rzeczy, ale ja panienko
już stara jestem i muszę pilno-
wać co panienka robi.

Henryka: Naprzykład?

Stani: Panienka sama przecież wie (płacze) (płacze)
ale muszę obaczyć kto przyszedł.

(Stanisława wychodzi)

Henryka (zmieszana) Czy ona naprawdę Tomusia nę?

Scena II

Wchodzi Władysława

Wład: Dzień dobry Henryko. Czy ci przeszkadzam?

Hen: Wcale nie! Dobrze, że przyszłaś.
Zimno na dworze, jestem zziębnięta.
Zdejmij żakiet, napijesz się herbaty
ze mną.

Wład: Chętnie.

Henryka idzie do drugiej otwiera je i woła:
Stanisławowa, proszę podać trzy
szklanki herbaty.

Wład: Dlaczego nie byłaś dzisiaj na wykła-
dach?

Hen: Czuję się słabo, nie mogłam przyjść.
Wogóle mam zamiar przestać uczęszczać
na uniwersytet.

Wład: (zdziwiony) Przestać wreszcie?

Henr: Tak! Przestać zupełnie wreszcie.

Wład: Nie rozumie cię Henryku. Teraz kiedy masz jeszcze rok studjów przed sobą?

Henr: Może rozumiesz nie za długo.

(Stanisławowa przynosi szklankę herbaty)

Stanisławowa: Czy jeszcze jestem potrzebną?

Henr: Dziękuję (Stanisławowa odchodzi)

(siadają obie po stali)

Wład: Wydaje mi się być zmęczonym. Jesteś chory?

Henr: — Tak!

Wład: I dlatego nie byłaś dzisiaj na wykładach?

Henr: Tak!

Wład: To jeszcze nie powód! A jak będziesz z frontem?

Hen: O, to tak prędko nie nastąpi.

Wład: Henryko, co Tobie jest?

Henryka (milczy)

Wład: Jestem przecież Twoją przyjaciółką, czemu Twe tajemnice przed mną?

Hen: Nie wszystko można mówić.

Wład: Przyjacielowi można wszystko powiedzieć!

Hen: (cicho powtarza) Przyjacielowi można wszystko powiedzieć. (Wstaje od stołu przechodzi kilka razy pokój, potem staje przed Władysławą, patrzy się na nią przenikliwie, następnie pyta: Władziu, powiedz mi, jesteś Ty moją przyjaciółką?

Wład: Tak!

Henryka: O jak ja przed Tobą wygadałam się, jeżeli otworzę Ci duszę moją, jeżeli Ci opowiem wszystkie moje tajemnice

jak sowiesz się, że popełniłam czyn, który społeczeństwo dzisiejsze potępi i, że gdy się o mnie sowiedzą ci, którzy dzisiaj ze mną żyją, to opuszczą mnie i pomszczą mnie mieć, czy ty więc nadal zostaniesz moją przyjaciółką?

Wład: Więc tem bardziej. Jeżeli ty zostaniesz opuszczoną ja zostanę przy tobie.

Henryka: (obejmuje ją) Kochana Władzia. (płacze tak chwilę nagle Henryka wybucha gwałtownym płaczem)

Wład: Henia co tobie jest? Boże takie mi nie powiesz? — powiedz mi

Hen: O, to tak trudno! Nikomu nie zwierzałam się jeszcze. Przyzwyczaiłam się największe bóle umiałam przecierpieć. Cierpię już sama, a nikt o tem nie wie! I po co mówić? czy kto obcy potrafi

współczuć albo rozumieć? A jeżeli widzę, że współczucie to odczuwa tylko między kimś widzę. I po co powiedzieć mu tajemnicę, które powinny zostać nadal tajemnicami?

Wład: Muszę mocno je powiedzieć! ~~Henryku, pan przeszło żyjemy razem. Czy my się nie rozumiemy?~~

Hen: Tak! Rozumiemy się.

Wład: Pamiętasz ten dzień kiedyśmy się poznali? Jakaś dziwna siła pchała mnie do ciebie abym cię poznał, a potem kiedy po godzinnej rozmowie rozstawaliśmy się byliśmy już przyjaciółkami. I od tego czasu jesteśmy razem. Czy przez ten cały czas choć raz był między

mami najmniejsze nieporozumienie?

Hen: Nie pigtz.

Wat: Czy teraz będziesz się krępować?
Powiedz mi wszystko, moi otwarcie.

Hen: Mówić otwarcie. Chciałbym to ci powiem.
(Prowadzi ją do okna - siadają. Henryka mi leży)

Wat: A więc słuchamy.

Hen: A więc słuchaj. Stanisławie mój! Alfredem nie jest ci obcym — do pewnego stopnia.

Wat: Do pewnego stopnia? Wiem, że go kochasz i on ciebie kocha.

Hen: Tak! Ja go kocham. Ale to nie wszystko. Miłość to nieprzyjemna rzecz, z nią igrać nie można. Ja o tem nie wiedziałam pierwej. Teraz się powiedziałam

i to jest ten sumienie. —
Przed pokoju poznałam go. Jego
mroka, inteligencya, wykształcenie
imponowały mi. Trudno było
opierać się uczuciom jakie zawład-
nęły moim sercem. Czułam i
wiedziałam, że go kocham.
Z powrotem mieszkaliśmy wszyscy,
chodziliśmy na spacery razem.
To trwało przeszło pół roku. Wtym
czasie wyznaliśmy sobie nasze
miłość. Raz przyjechał to mnie
tu do pokoju. Siedzieliśmy, tak,
jak my teraz. Opowiadał mi
o wielu rzeczach. Był smutny.
Ach, ile był ze mną jak nie
z tymi pięknie mówił. Objął mnie

swoim ramieniem, tulił mię, pieścił,
całował .. Spałam głowę moją na
jego piersiach, ramkę łam oczy-
słuchałam co mówi. Byłam szczę-
śliwą. Po paru godzinach powrót.
Jakaś dziwna, straszna, niedokreślona
tęsknota ogarnęła moje serce.
Żałowałam mi się, że mi pierś
rozsadzi. Zaczęłam płakać —
czułam się samotną. Chciałam
go mieć ciągle przy sobie.
Jego co raz częściej widywałam
u mnie nie stawiałam przeszkody.
Przychodził Kiedy chciał, a jeżeli
mnie nie zastał w domu to czekał.
Cieszyłam się z tego. Moim wyma-
ganiom, moim przyjemnością stało

się zabić. Być przed nią ciągle przy niej... (pauza) I to jest właśnie początek wszystkiego złego. (myśl)

Mąt.: Czemu przerywasz? Mów dalej.

Henr.: Raz przyszedł wieczorem. Był bardzo zdenerwowany. Chodził po pokoju, chciał coś mówić - widocznie sprawiało mu to trudność. Ja siedziałam na otomanie i patrzałam co z tego wyniknie. On stał przy mnie. Mówił mi o miłości, o przeszłości, o przyszłości. Pieścił mnie, całował moje włosy, oczy, usta, szyję, piersi... Byłam oszołomiona. On prosił, błagał, przysięgał swoją miłość - (ciszy na sali teatr pękamy) uległam... —

on mnie wtedy posiadł. A dziś czuję
w sobie zarodek tego dziecięcia
miłości i grzechu.

Wład: (wstaje z otomany, przechadza się po pokoju
po chwili) Stasiuc! — Jeszcze jest ciemno?

Hen: Blisko trzy miesiące.

Wład: Czemu mi tego pierwej nie po-
wiedziałaś?

Hen: Wiecznie! — Z początku nie zdawałam
sobie sprawy z tego co się stało.
Zdawało mi się, że to był sen
tylko. Ale dzisiaj... (po chwili)
Teraz Władziu porozmawiajmy się,
potrzeba mi ręki i potrzeba spokojnie.
Nie rób sobie zbytnich skrupułów.
Wiem, że obcowanie ze mną teraz,
może cię tylko kompromitować.

Odejść! Jak jak Ty odejdziesz, odejdą wszyscy. Jestem na to przygotowana.

Wład: (Płacze)

Hen: Co płaczesz?

Wład: Henin! Zrobiłaś mi taką przykrość. Czy mnie traktujesz tak jak tych wszystkich innych? Jestem taka jak oni? Nie! Ja Ciebie nie opuszczę. (zamyśla się, po chwili) Henin Ty potrzebujesz teraz opieki. Pozwól mi mieszkać razem z Tobą.

Hen: (z przerażeniem) Ty chcesz ze mną mieszkać?

Wład: Tak!

Hen: (obejmuje ją) Władzin, moja, kochana, droga, jedyna. Nie Ty mnie nie

opuscisz?

Wład: Ciebie opuścić? Nie, nigdy! Będę
z Tobą mieszkała, będę modlitwy
wykładzy, będziemy się razem modlić.
Nic stracisz nic. Zrany razem
kolokwia. Dobrze tak będzie?

Hen: Będzie mi się ci serdecznie. Dobrze, że
będziemy razem mieszkały.
Mnie jest bardzo potrzebne towarzystwo.
W nocy ogarnia mnie straszny
lęk. Boję się! Czego? - nie wiem.
Ach te noce! Żebyś Ty wiedziała
z jaką trwogą je oczekuję. Boję
się sama spać. Całe noce
siedzę na łóżku, a to takie
męczące, takie okropnie męczące.

Wład: Uspokój się. Będziemy teraz razem.

będziesz się jeszcze bała?

Hen: Nie!

Wład: A czego ty się boisz?

Hen: Boję się moich myśli. Moje myśli fantazjują mnie. Dopro-
wadzają mnie do rozpaczy.
Zdaje mi się, że... (myśli)

Wład: Że co?

Hen: Nic! Nic! Nic! Nie pytaj się o to!

Wład: Henryko! Znowu tajemnice?

Hen: Nie! Zadne tajemnice tylko...
(Wychodzi frontem ukłonem)
Do ow! Władzio co teraz zrobić?
Powiedzieć mu wszystko?

Wład (zdziwiona) Ow o tem nie wie?

Hen: Nic mu nie mówiłam.

Wład: Zdaje, że powinien się dowiedzieć.

(Wchodzi Alfred)

Alfred: Dzień dobry Henryczku! Jak się masz?

Hen: Dziękuję, dobrze.

Alf: (przerobliwie) A czemuś ty płakała?

Hen: Ja? Żadnej ci się.

Alf: (rozbierając płaszcz) Już dwa dni cię nie widziałem.
(spotkaja Matysiaka) A ci pani Lulaj. Nie spodziewałem się pana spotkać

Mat: Dlaczego?

Alf: Nie przypuszczałem, że pani do Henryka chodzi

Mat: ~~Dla~~ O! Nas łączy pewien sekret przyjaźń.

Alf: Tak?

Mat: A Lulaj bywam dość często.

Alf: W takim razie prosze mi powiedzieć, czy spostrzegła pani, że Henryk od

jakiegoś czasu bardzo posmutniała.

Wład.) Na prawdę? Nie zauważyłem tego.

Alf: Ależ tak! Zawsze smutna. Coś jej dolega i nie chce powiedzieć. A teraz? czy ona nie jest zapłakana?

Wład: Nie! Jestem dziś jak nigdy, a przez ten czas rozmawiałyśmy o rzeczach obojętnych napełnie wesołych.

Henry: Zapewniam cię alfredzie, że rozmawiałyśmy napełnie wesoło.

Alf: To dziwne! Masz taki smutny wyraz twarzy.

Hen: Zdaje ci się.

Alf: (do Władysławy, która obiera się do wyjścia) Pani odchodzi?

Wład: Tak! Mam jeszcze wiele do załatwienia w mieście. Wieczorem

vstą pić jisuce to Heni. (ujmuje się z Henrykę)
Servus Henin. — Dawidzenia pann.

Alf: Dawidzenia. Przykro mi, że pani
już nas opuszcza.

Wład: Mnie również, ale sprawy są
naglące. Dawidzenie. (wychodzi)

Alf: (Idzie przed Henrykę. Heni Dzi płakała.
Powiedz o co?

Hen: Nie płakałam

Alf: Dlaczego zapierasz się?

Hen: Nie wierzysz mi?

Alf: Muszę wierzyć. Przypuszczam.

Hen: Dzie byłeś?

Alf: Tu z tamtą.

Hen: Prawdopodobnie była u was Twoja
narzeczona. Jak się bawiłeś
w jej towarzystwie? Co prawda jest

bardzo ładną panią.

Alf: Nie ładniejszą od ciebie.

Hen: Jeżeli jestem nie jest to będzie. Zaczynam jej brzydnąć.

Alf: Co to znaczy jej brzydnąć?

Hen: Nic! Źle wyglądam, trzy nie sięgnienia.

Alf: Pojedziesz na wakacje do Paryża, będziesz lepiej wyglądała. Powrócisz jeszcze ładniejszą. Świetne pomysły...

Hen: Mnie nie trzeba świetnego pomysłu. Do Paryża nie pojadę.

Alf: Dlaczego?

Hen: Nie mogę.

Alf: Powiedz dlaczego nie chcesz jechać?

Hen: Nie pojadę i... koniec o tem.

Alf: Jesteś zawsze kapryśną jak dziecko.

Hen: Ciekawam dlaczego?

Alf: (siada obok niej) Nigdy nie odpowiadasz na moje pytania. Czy nie możesz mi powiedzieć co cię skłania do pozostania tutaj w mieście, zamiast czas spędzić na wsi, co może o wiele korzystniej oddziałać na Twoje zdrowie? Odpowiesz teraz?

Hen: (milczy)

Alf: Widzisz! To są Twoje kaprysy.

Hen: Nigdy ich nie miałam i nie mam.

Alf: Nie masz? Zaraz cię przekonam. — Naprzykład mam teraz jakieś życzenie i tylko Ty możesz temu radość sprawić.

Hen: Czego sobie życzysz otemnie?

Alf (wesoło) Pocałuj mnie!

Hen: Nie chce.

Alf: Widzisz. Teraz milczysz. A przedtem... dawniej... tak całowałaś ... Pamiętasz?

Hen: Dawniej tak, teraz już nie mogę.

Alf: (poważnie) Henryko Ty mnie już nie kochasz Prawda?

Hen: Tak jak Ty mnie.

Alf: Więc kochasz mnie.

Hen: Czemu Ty okłamujesz nam siebie.

Alf: Nie okłamuję!

Hen: A narzeczoną?

Alf: Nie kocham.

Hen: Ale się z nią ożenisz!

Alf: Nie mię można wierzyć. A choćby to i mastyfito, Ty wiesz dobrze, że nie z miłości. —
Ale po co mówić o niej. Mówmy o sobie.

Hen: O nas mówić możnaby bardzo wiele.
O Tobie, o mnie.

Alf: Widzisz jest temat. Mów mi o sobie.

Hen: (Nie mogę powiedzieć ci nic ciekawego,

a tem bardziej mię vesołego.

Alf: Naprzykład, co mogłaś powiedzieć smutnego?

Hen: Smutnego? O wiele, wiele. [illegible]

Alf: Żartujesz mię!

Hen: Moje powiedzieć to, że życie moje jest zupełnie złamane.

Alf: Twoje życie złamane? ~~Co~~ po co ta tragedyja? Mój veselej!

Hen: Nie mogę. Jak się komu życie łamie to tem który mię może mocno vesoło.

Alf: Tak! To prawda.

Hen: A radzę zgadzasz się na tym punkcie ze mną. Ale zmieńmy temat. Czytałam wiele razy, iż celem kobiety jest małżeństwo. Że jeżeli kobieta jest matką, czuje się szczęśliwą i swoje dziecko kocha, że to dziecko zajmuje

powinnością jej myśli, ona stara się je wykonywać ...

Alf: No tak! Powiedz ja nie jestem kobietą i nigdy nie zostanę matką nie mogę w tej kwestyi zabrać głosu.

Hen: Masz słuszność. Ale powinien będzie ojcem. Czy kwestya wychowania Twojego dziecka między Cię zajmować nie będzie?

Alf: To pozostawie mojej żonie. Ona jako kobieta lepiej potrafi ...

Hen: A jeżeli żona Twoja dziecko wychowywać będzie źle, albo nawet o to starać się nie będzie, to co wtedy?

Alf: Naprzód nie wiem. Nie jestem jeszcze żonaty, ~~i nie zostaję ojcem.~~ ani w podobnem położeniu.

1) [illegible]

2) [illegible]

Hen (cicho) Kto vie?

Alf: Pytanie to dziwnym podniecającym głosem i z oczu błysnęło mu nie jasne nie mojem myśleniu.

Hen: Tak? Czy Ty sądzisz, że te miesiące razem przejęte, zdolnym za sobą skutki pociągnąć nie mogą?[1]

Alf (z powrotem) Nigdy się nadtem nie zastanawiałem.

Hen: A ja się nadtem zastanawiałem. A teraz wiem, że ...

Alf (prędko - niespokojnie) Że co? Mów!

Hen: Że rastaje własnie matkę.

Alf (przy nie - otomany) Henryko co mówisz? Czy jesteś pewną tego?

Hen: Tak niestety, jestem zupełnie pewną.[2]

Alf: Co za nieszczęście. Teraz już rozumie ciebie. Dlatego nie pojedziesz do domu.

1) [illegible]

2) Na mnie spadają [illegible] o Klärych
[illegible]

Hen: Tak! Pojmiesz, że w takiem stanie do Tomma jechać nie mogę. 1)

Alf: (Idzie do niej, klęka, głowę kładzie na jej kolanach)
Heniyko, ja Tobie życie ratowałem.
Heniyko!

Hen: Nie rozpaczaj: To co się stanie
nieszczęściem tylko mnie. Tobie to
nie szkodzić nie może. Ty
przecież nie jesteś ona. A mężczyźni
tak często unieszczęśliwiają
kobiety, a tak zadko o tem
jednej tej. Przecie, że nigdy.

Alf: Ja nie chcę być takim ~~jak wszyscy~~
~~inni mężczyźni~~, ~~ja~~ chcę ~~dla~~ być inny.
Ja o Tobie zapomnieć nie mogę.
Mnie nie wolno o Tobie zapomnieć. 2)
Co Ty poczniesz teraz. Co się z Tobą
stanie?

1) La couple de la consommation sous
valeur ...

Hen: Nie wiem. Nie myślałam jeszcze o tem.

Alf: Ty sobie może nie zdajesz sprawy z tego co się ~~wczoraj~~ stało?

Hen: Wiem bardzo dobrze. Czuję to.

Alf: (chodzi bezradny po pokoju) To jest straszne, to jest okropne.

Hen: Uspokój się!

Alf: Ah, to trudno – trudno. I to wszystko przeminie, wszystko przeminie.

Hen: Taką samą mam opinię.

Alf: Ona nie. Ja jestem nerwowy. Ja poniemcu był rozdrażniejszy, rozdrażniejszy. Zgubym, z tetz, pamiętasz ten wieczór, papierosa na całowanie ciebie, na rozmowę. Zjeść zgubym się tak szczęśliwy. O losy są bardzo drogie.

1) [illegible]

2) [illegible]

Hen: Czy nie mówisz mi tak być szczęśliwym?
Twoja narzeczona kocha cię, a Ty
ją takie kochasz. Pobierzcie się. –
Ja ci przeszkadzać w tem nie będę.
W tedy nie będziesz szczęśliwym?

Alf: O nie! Henryko, moje sumienie
nie da mi spokoju, moje su-
mienie ciągle będzie mi przypo-
minało tą zbrodnię, którą popeł-
niłem. Ja Tobie życie skłamałem.
Henryko, przebacz mi, Henryko.

Hen: Ja Tobie nie to przebaczenia nie
mam. ~~Co się stało, stać się miało.~~

Alf: Tylko mi wierz w przebaczenie.

Hen: Ja powoli w wszystko wierzyć przestaję.
A mówię, wiesz, nie łudź się nadzieją,
że Ty mnie nie kochasz. 2)

1) Tandem, ne prendre jamais d'épreuves,
épreuves ne servent à rien d'épreuves.

2) Miroir pour tailler en mefprisetaire.

Alf: Henryko, po co tak mówisz? Ten spór
wiąże mi tylko przykrość.

Hen: Mówię to, co widzę i co jest prawdą. 1)

Alf: Więc z miłości mnie nienawidzisz?

Hen: Całkiem! Już się z tą myślą pogodziłam,
że Ty mię Nie kochasz i myślę mówiąc mi będzie. A to co było
to był sen, sen... 2)

Alf: Jak bardzo mieszczęśliwi jesteśmy obaj.
(spaceruje po pokoju) Co to będzie. — Co to będzie?

Hen: Nie martw się. Postaramy się, żeby
wszystko jak najlepszy obrót wzięło.

Alf: (Co zrobisz?

Hen: Boisz się mię zdradzę. — Idź już.
Musze być sama teraz. Idź Alfredzie.

Alf: Wypędzasz mnie od siebie? Chcesz
się mnie już pozbyć?

1) [illegible]

2) [illegible]

Hen: Nie ja cię tylko o to prosze.

Alf: Jeżeli tego żądasz – idę. Ale myśl o Tobie nie opuści mnie ani na chwile.

Hen: Bądź spokojny. Nie myśl o tem. Po co ci Hanie się lepiej, jeżeli bezpieczeństwo się martwić?

Alf. (już ubrany) Dobra noc ci droga. (Hanyka podaje mu rękę, którą on całuje, potem całuje ją i usta) Dobra noc (wychodzi)

Hen (stoi kilka sekund, myśli bijące szybko to Boi i woła: Alfred.

Alf: (wraca) Chciałaś mi jeszcze co powiedzieć?

Hen (stoi chwile zakłopotana, myśli rzuca mu się na szyję, całuje go w usta, płacze, mamrocze, przeciąga, odsuwa się potem odbiega i mówi: Idź już; Idź Alfredzie.

Alfred wynosi. Henryka idzie do stołu do którego
do szklanki wody, ze szuflady biurka pudełko z którego
wyjmuje pastylkę i i wrzuca do szklanki)
Ta jedna pastylka sublimatu może
mu wrócić jego szczęście. (bierze do biurka)
Może postawić list — a powrót? —
nie wyleczona choroba. (pije — wstaje, idzie
do stołu, bierze szklankę, podnosi ją do ust,
zamyśla się i stawia ją naprzód.)
Nie! Mnie wolno popełnić samobójstwo,
ale mnie nie wolno popełnić
zbrodni.

Akt II

pokój u pani Łarskiej. Pani Łarska siedzi przy stole w ręku ma robótkę. Zofia siedzi opodal, głowę ma podpartą ręką, przed nią leży otwarta książka. Jest zamyślona.

Pani Łarska: Zamiast tak siedzieć bez sensu nie pomogłabyś mi naprawdę bieliznę.

Zofia: (przytomniejąc.) Co mamo?

P. Łar: Mówiłam, że mogłabyś mi co pomóc przy pierwszej nie czytać.

Zof: Czytam mamo. (czyta ciszej) Mamo, która godzina?

P. Łar: Po szóstej.

Zof: Ach już powinien dawno tutaj być. Może już idzie? (Idzie do okna. Opiera głowę o szybę.) Śniegu pada. Wszystko białe.

P. Łar: Czytaj lepiej, a nie wyglądaj przez okno.

To nawet nie wypada dobrze wychowanej pannie.

Józ: Co tam wypada, a nie wypada. Ja na to nie zważam. Taka ciekawa i krzątanie właśnie. Ja być dobre w przestrzeni. Dzisiaj, my ludzie postępowi musimy się pozbyć wielu przesądów. Każden powinien robić tak, jak mu się najwygodniej.

P. Zar: Co ty przez to myślisz?

Józ: Naprzykład, jak ja chcę siść do okna, to Karczyc nie mam być przy oknie. Albo patrz mamo, śnieg tak tańcuje przed. Ja bardzo lubię chodzić w tedy jak śnieg pada. Teraz ja będę się

1)

ubrała i poszła się przejść.[1]

P. Lar: Ależ to nic wypada. Już ciemno jest.

Zof: Widzi mama, znowu etykieta. To cięży na nas jak łańcuchy niewolnicze. Starego wypada mężczyznom chodzić samym po ulicy, a panienkę nie.[2] albo mężczyzna może sam iść do teatru albo na koncert, a panienka tylko ze starszą opieką? To jest jeszcze rabstwo przeszłości.

P. Lar: Wszystko co jest dawne, jest lepsze od dzisiejszego. Dzisiejsze wychowanie bardzo się różni od tego jakie otrzymałam w domu. To moje prawdy, mamy kochania się w kobiet, to nic dobrego.

Zof: Ależ to wyrzeczenia ze strony

mamy. Mama musi to zrozumieć, że ośrzała postępując naprzód zumienia ludzi. Teraz już wiem Nacrzyo, jeżeli się spotka panna chodząca na universytet mówi się: Ta to chodzi na universytet. akademiczka. Czy jest w tem co złego?

P. Lar: Pewnie! Chodzi to rok, albo dwa, niby się uczy, a naprawdę to włóczy się ze swojemi kolegami akademikami po kawiarniach, a potem zamiast wybrać sobie jakie uczciwe zajęcie to (robi pogardliwy ruch ręką) nic mówiąc lepiej o tem.

Zof: Mama ma złe wyobrażenie o kobietach kształcących się. We Francyi

i w Niemczech kobiety są profesorkami na uniwersytetach. Czy stanowisko to nie zaszczytne i ważne? A przecież one same później muszą się na akademiach.

P. Zar: Coś o tem słyszałam. Ale i ile ich jest? Będzie na całym świecie dziesięć?

Zof: Jest ich teraz mało – ale są. Mówiły mi, że za lat kilka będzie ich znacznie więcej. Ja sama chciałabym być taką profesorką, wykładać z katedry...

P. Zar: (gniewnie) Co? Tybyś chciała być profesorką? Ty miałabyś chodzić na uniwersytet, tak jak te wszystkie? Nie! Na to ja nie pozwolę. Dosć sobie wypuściłaś robiłam, że pozwoliłam

na uczęszczania do gimnazyum. Panny nie potrzebują wielkiej nauki, a to jiż umiesz, to Ci musi wystarczyć.

Zof. A jeżeli mi to nie wystarcza?

P. Łom: To Ci musi wystarczyć. Zresztą teraz inne życie Cię czeka, inne obowiązki mieć będziesz. Już Ci uniwersytet z głowy wyrzuciłem."

Wchodzi służąca: Pan doktór Belski przyszedł.

P. Łar: Poproś. (Służąca wychodzi)

Zof: Jak to dobrze, że przyszedł (Idzie na przeciw niego.)

P. Łar: Zosiu to mi wypada. Siądź przy stole.

Zof: Znowu mię wypada! Ręce na stole położyć czy założyć?

(Wchodzi dr Belski – wita się z p. Łarską) Całuje

rączki pani dobrodziejce.

P. Lar: Bardzo się cieszymy z tego, że pan doktór o nas nie zapomniał.

Dr Bel: To byłoby mi bardzo trudno.
(do Zofii) Pannie Zosi dobry wieczór.

Zof: Dobry wieczór panu.

Dr Bel: (siada przy stole) Będąc w przedpokoju słyszałem głośną rozmowę. Cóż z niedyskretnego podsłuchania sądzić może rozchodziło się o uniwersytet.

Zof: Tak, ma pan słuszność. Bardzo dobrze się stało, że pan przyszedł z pana.
Stanie pan teraz w mojej obronie.
Jak się pan zapatruje na kwestyę kształcenia się kobiet. Jesteś pan temu przeciwny?

Dr Bel: Przeciwny — nie.

Zof: A raźem ?

Dr Bel: Owszem, niech się kobiety kształcą. Pomagają pewien to mężczyźni do dobrego kroku cywilizacyi. Ale żeby to było bardzo dobre – to nie powiem.

Zof: Dlaczego ?

Dr Bel: Dlatego, bo gdyby kobiety kształciły się tylko dla własnego wykształcenia to byłoby dobre. Panienki one służyją pewnemu pewnemu pomagają pewien to być ekonomiczny i oszczędny.

Zof: Co pan pewien to rozumie ?

Dr Bel: Rozumie pewien to trzy rzeczy. Po pierwsze co do samej nauki. Wreszcie ustawanie, siedzenie w dużej klasie szkolnej, uczenie się jednocześnie

stanu zdrowia nie pozwalają owszem pogarszają go, co u panienek bardzo się odbija w przyszłym życiu. Takie spojrzenie na młodzież mszą się jest kamieniem rakiem szkodliwego.
Wszystko blade o twarzach zmęczonych. Chłopcy do szkół chodzić muszą. Ale panienki? Czy nie wystarczy kilka klas wyższych, a potem edukacja w domu? Nauka języków i muzyki?

Raf: Nie zawsze.

Dr Bel: Otóż pani pozwoli. Panny chodzą do gimnazjum. Po ślubie mężczyźni wolą prowincję-za mąż. Jaka co ich nauka? Czy są lepsze żonami od tych panien, które

To gimnazyum nie uczy?
Wcale nie! Pokazuje się, że są
tam gospodynianie. A to jest
takie wykształcenie. W tych gdy
inne panny pozostawały w domu
i uczyły się gospodarstwa, one
w szkole uczyły się gramatyki la-
tińskiej, uczyły się deklinacyi,
poznawały w matematyce sinusy
i cosinusy, uczyły się logiki,
a owocem ich logicznego
myślenia jest to, że pojęcia
jako samodzielne gospodynie
najskromniejszego obiadu ugotować
nie potrafią.

P. Lar: Zosia na gospodarstwie zna się.
Wyręcza mnie w gospodarności.

Dr Bel: Więcej panna Zosia będzie z tego miała korzyści niż z wiadomości w jaki sposób obliczą się wysokość gniazd.

Zof: Prawda mówiąc zapomniałam w jaki sposób się robi.

Dr Bel: Kiedy pani zdała matury?

Zof: Przed wakacyami. Będzie już blizko pół roku.

Dr Bel: Widzi pani, zdałam pół roku, a już takie braki wiadomości okazuje pani w matematyce. Jeżeli bysmy teraz zaczęli trochę o fizyce, historyce, chemii, i.t.d. to by się pokarało, jak wiele pani zapomniała. Zdałbym pół roku. I na co się zdała cała nauka? Ja pani powiem. Aby się

mazywało, że panna Zofia Larska ukończyła gimnazyum i zdała matury.

P. Lar: Z odznaczeniem panie doktorze.

Dr. Bel: A tak! Panna Larska zdała matury z odznaczeniem. To jeszcze łatwiej.

Zof: Ja na takie rzeczy nie zważam.

Dr. Bel: Słusznie pani robi.

(Słychać za sceną brzęk tłuczonego szkła)

P. Lar: Ona znowu coś rozbiła w kuchni. To już nie do wytrzymania. Muszę iść zobaczyć. (Wstaje od stołu.) Przepraszam bardzo. (Wychodzi)

Zof: Niech się tylko mama nie irytuje.

Dr. Bel: Pani bardzo się troszczy o zdrowie swojej mamusi. Tak robi dobra kochająca córeczka.

Zof: A powiedz ja mamie bardzo kochamy, nie powinno to pana wcale dziwić.

Dr Bel: To mnie nie dziwi. Smutno-ty ekko bardzo cierpy.

Zof: Dlaczego to pana tak mamie bardzo cierpy?

Dr Bel: Zdaje mi się, że kto tak kocha innych mej bliskich, może i innych pokochać. [illegible]

Zof: Najczęściej kogo mogę ja pokochać.

Dr Bel: Męża - w przyszłości

Zof: Bezpowrotnie.

Dr Bel: Z tego powodu, że kochająca córka jest takie kochającą żoną.

Zof: Zgrabnie to pan wymówkowali.

Dr Bel: Tak jest prawda pani. A kochająca żona jest szczęśliwa małżonką

1) [illegible]

Zof (ironicznie) Nie pan, panie Takiśmie, nie miejscu pana będzie; poszukałabym sobie takiego szczęścia w pałacu kabiecej.

Dr Bel: A ja też jużem znalazłem. Niestety, wiśnie je w rękach innego.

Zof: O to pan biedny. Musi się pan postarać, aby było w pańskich rękach.

Dr Bel: To trudno. Nie zależy to ode mnie...

Zof. Tylko?

Dr Bel: Tylko od pani.

Zof: (dziwiąc) O - ode mnie - nie? Czy jestem osobą zdolną do tego wypadku? Żałuję, że nie, - panimo, że z całą mocą z odznaczeniem. Ale niech się pan jaśniej tłumaczy.

Dr Bel: Jaśniej tłumaczyć. - Pani Zofio! Powinna się pani domyśleć, że wszystkie pani oświadczenia mają do mnie

jakiś cel.

Woj: No tak. Pan takiż teraz moją mamę raczej bywanie u nas jest zupełnie wytłumaczone.

Dr Bel: Nie, nie miałem tego na myśli. Pani nie chce mnie zrozumieć.

Woj: Pojęłam tak jak jest powiedziałam.

Dr Bel: Oprócz tematu mamy, ja mam jeszcze inny cel Pa, którego tutaj przychodzę.

Woj. Nie wiedziałam o tem. A jaki jest ten drugi cel?

Dr Bel: Aby być choć chwilę w towarzystwie pani.

Woj: Czy to pana sprawia taką przyjemność?

Dr Bel: Większą, niż pani sobie wyobrazić może. Gdy jestem w towarzystwie pani tęsknota moja opuszcza mnie

w tęsknocie. I przez to mniej cierpię.

Zof: A jak pan mię jesteś w moim towarzystwie?

Dr Bel: To wtedy tęsknię, bardzo, bardzo, panno Zofio.[21]

Zof: To dziwne.

Bel: Gdy mię, za osobami, które mię kocha tęsknią się.

Zof: Ta osoba, którą pan kocha kto jest?

Dr Bel: Kobieta

Zof: To może taka kochająca córeczka, a w przyszłości Kochająca żona?

Dr Bel: Możliwe

Zof: Może pan bliżej określić tę kobietę? Wie pan jak ona się nazywa?

Dr Bel: Wiem panno Zosiu.

Zof. A pan ją bardzo kocha?

Dr Bel: Gdybym powiedział, że ją kocham byłoby to za słabe określenie.

Ja ją ubóstwiam. Ja żyję myślą o niej, ja żyję wspomnieniami przyszłości.

Zof: Jaki pan romantyczny. A ona kocha pana?

P. Bel: Nie wiem tego. O, gdyby ona mnie kochała, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem. Ale ona...

Zof: Może kocha?

P. Bel: Co pani powiedziała? Ona mnie kocha?

Zof: Pan mnie źle zrozumiał. Tego nie twierdzę. Ja jej nie znam. Może pan wymienić jej imię - nazwisko?

P. Bel: Może..

Zof: Proszę bardzo.

Bel: Nazywa się Zofia Larska.

Zof: Panie Tadeuszu! Ja nie lubię

jeżeli kto stara się ze mną tutaj,
lub zartować, słowem bawić się
moim kosztem.

Dr. Bel (bierze ją za rękę) Panno zapio, mnie
pani mnie rozumie. Ja panią
kocham. Ja cię kocham bardzo.
(klęka przed nią) Rozrzuć ciszy mnie,
zostań moją żoną.

Zof: (przez ks.) Panie doktorze. Co za komedya,
niech pan wstanie. Ktoby teraz kto wszedł.
Niech pan wstanie. Mówmy poważnie.

Dr. Bel (wstaje) Dobrze! Mówmy poważnie.
Wszystko to co powiedziałem, mówiłem
poważnie. Kocham panią i mam
o tem, aby ją poślubić.

Zof: To nie możebne.

Dr. Bel: Dlaczego?

Zof: Jestem narzeczoną Alfreda.

Dr Bel: Tak o prawda. Zarzucyłem oficyalnych jestem nie być, a o waszym stanowisku porozmawiamy kilka bliższych znajomych nikt nie wie. Gdyby pani nie wyszła za mnie?

Zof: Nie! Jego nie robię.

Dr Bel: Niech pani rozważy. Jestem młody i na stanowisku. Mój tytuł faktora daje mi możność utrzymania siebie i ewentualnie mojej przyszłej żony. A Alfred? Ma jeszcze przeszło dwa lata do ukończenia studyów. I po ukończeniu agronomii jaki być może będzie? Będzie zależał od jakich posiadłości. Czy pensya jego wystarczy na wspólne życie

z panią? Na życie spokojne bez trosk z ra-
fowniejszym byłem? Nie! Natomiast ja
mam wszystko. Dochodzą moje sa-
mowie. Że mną żyjąc pamo żapió,
miałabyś mnie - moją kochającego i
życie pełne wesołości.

Zof: Życie takie byłoby Na mnie życiem
udręczeń, a nie wesołości. Czy ja pana
nie kochając, nie znajdując w nim
tego przyjaciela - kochanka mogłabym
być szczęśliwą? Nigdy! Niepan teraz
rozważ. Czy żądając mnie takie
życie pan mnie uszczęśliwia?
Prawda, że nie! A zatem, pan mnie
kochając i pragnąc Na mnie szczęścia
chciałbyś pan mnie nieszczęśliwej?

K Bol: Nie! Pragnę tylko pani szczęścia.

Pani szczęście jest moim szczęściem.
Sądzę, że...

Zof: Że co, pani Doktorze?

Dr Bel: Że to znaczy się skończy.

Zof. A ja nie przypuszczałam, że coś podobnego, jak ta scena przed chwilą, kiedykolwiek może mieć miejsce.

Dr Bel: Tak, tak. Człowiek wiele rzeczy nie przypuszcza, a czasem rozłączeniu zakochani tak mogą...

Zof: Do rozpaczy kiedy musimy się przyzwyczaić.

Dr Bel (zakłopotany) Pani Zofio! Proszę mi przebaczyć... To całe zajście dla pani musiało być wielce przykre... ale pani musi mnie zrozumieć. Ja panią kocham jak Boga. Chciałem pani powiedzieć

Tylko o moich myślach, o planach...
o marzeniach, które niestety zostaną
na zawsze tylko marzeniami.
Spotykałam się z innymi otwartymi ludźmi
niż pani... no – ale trudno.

Zof: Czy pan myślał, że ja pana
kocham?

Dr Bel: O tem nie myślałem. Zdawało
mi się, że jestem na pani choć
trochę sympatycznieszy. – Teraz
mam małą prośbę do pani.

Zof: Jaką?

Dr Bel: Moja pani będzie tak dobrą i jak
do swojego dawnego przyjaciela,
wpadnie zrzerpe odpocząć. Czy
pani kocha Alfreda?

Zof: Tak!

dr Bel: A pożycie z nimi będzie takiem
o jakiem pani marzyła?

Paf: Ośle Alfred został pozostanie takim,
jakim jest obecnie, życie moje
przyszłe będzie tem wymarzonem

dr Bel: A jakim on nas został pozostał?

Paf: Tak idealnym jakim jest. Ja
wierzę i jestem przekonaną, że
on mnie kocha, a inne kobiety
jeżeli nie wcale to przynajmniej
bardzo mało go obchodzą.

dr Bel: Tak, tak, ilżórek wiele rzeczy nie
przypuszcza, a czasem rozłączony
zaskoczeni tak mogło... że

Paf: Co to ma znaczyć pani takiego?
Już drugi raz pan to czynie
powtarza!

Dr Bel: Ma ~~się~~ rozumie. Teraz mi mogę je pani tłómaczyć. Przy sposobności portówce je jestem par, a więcej może pani rozumieć co myślę. (Wyjmuje zegarek) Muszę już iras odejść. Przykro mi jest, że dziś tutaj byłem najlepszej myśli, a teraz opuszczam panią obrażoną i całkowicie moje nieprzyjaźnie Na mnie usposobioną. Prawda panno Zofio?

Zof: Myli się pan. Bo ja wybaczam pana jako dziecię mojego serca, o byle uważam pana za serdecznego i dobrego mi przyjaciela. I zapomnijmy, że się nie omyliłam.

Dr Bel: Tak, pani się nie omyliła.

Cieszy mnie, że mi zostawiono zupełnie odpowiedzialną, a prawie jeśli pani będzie potrzebowała jakiejkolwiek rady przyjacielskiej abym się o mnie z całem zaufaniem udała. (Słychać dzwonek z ulicy) Kto do drzwi – czy mi się zdawało?

Zof: To Alfred.

P. Bel: Mi wypada mu teraz odejść. Muszę pozostać jeszcze chwilę.

(Alfred wchodzi, patrzy z pewną tęsknotą)

P. Lar: (do Alfreda) Mi umierzyć jak Zosia cię niecierpliwie oczekiwała.

Alf: Naprawdę? Bardzo mnie to cieszy.

Zof: Dlaczego przyjechałeś tak późno?

Alf: Wybacz. Wracam dopiero z wycieczki.

(Zmieszany) Tak teraz późno się kolacje.

Ach prawda, jestem nie przyzwyczajony się.

Wf (podaje mu rękę) Dobry wieczór. Coś jesteś bardzo zdenerwowany. Zapomniałeś przyzwyczaić się.

Dr Bel: (ironicznie) To wina tych późnych wyjazdów.

Alf (spostrzega go) Dobry wieczór panu. Mówi mi pan wybaczy, że dopiero teraz...

Dr Bel: Nic nie szkodzi.

Alf: (zamyślony idzie z boku) Tak, tak - nic nie szkodzi. Wiele rzeczy zdaje się nie nie szkodzą, a przecież...

Dr Bel: Ależ pewnie. Jako lekarz mogę o tem najlepiej mieć pojęcie.

Alf: No tak! Pan więcej z teorji inni mogą mieć z praktyki.

Dr Bel: Pewnie - pewnie - różnie bywa.

(wstaje) Ale ja państwa pożegnam.
Mam jeszcze kilka wizyt w chorych.

Alf: (wstaje) A kogo pan teraz leczy?
panie doktorze?

Dr Bel: Chciałem leczyć panią Zofię póki
jeszcze jest czas.

Alf: Jak? A co pannie Zofii dolega?

Dr Bel: Narazie mało. Wyrzuciłaś moje
byłe gorzej. (do pani Zarskiej) Całuję
rączki pani dobrodziejce. (do Zofi)
Panno Zofio moje uszanowanie.
(do Alfreda) Dobranoc panu.

Alf (mię podaje rękę - dziewczę) Żegnam pana.

Pani Zarska: Proszę mnie do was kiedy wpaść.

Dr Bel: Jest przysłowie: Gdzie cię lubią tam
zajdź, a gdzie całkiem nie lubią (patrząc
na Zosię) to nigdy nie przychodź.

Wp: Takie miał pan spostrzeżenia tego rodzaju filozoficznego przystoju.

Dr Del: To tak przy spostrzeżeniu. (Wychodzi pani Zofia i Zosia odprowadzają go.

Alfred (sam - chodzi po pokoju, jest bardzo niespokojny. Staje. Ręką opiera na czole i mówi z wyrzutem sumienia) Ot kochanki przyjść z prozą do marzącej to rzecz romantyczna. Jak z jakiej powieści. Gdyby to co raziło, nie było tak tragicznem. Ha! ha! ha! - Co teraz będzie? (Spaceruje - nagle zatrzymuje się) Co ona, robi? Co ona będzie potem robiła? (Rozpacznie) Ja jej życie złamałem. Ja ją zabiłem. Tak! To jest zbrodnia, moralna

z brotnia. Gdybym teraz mógł
zrobić sąd nad sobą i wydać wyrok to
skarałbym się na śmierć. —
Muszę być bardzo zmęczony. (idzie do lustra)
Hm, nic dziwnego, że ludzi wypłaszam.
A Henryki jej przyjaciółki, teraz ten
dokład nieba przerażenia. (bije przy słowie)
Smutna sytuacya. Brat na dziewczynę. —
Wszystko przeminie. Tylko ja jestem
temu winien. Ha, trudno. (wchodzi Zof.)

Zof: Czemu jesteś taki smutny?
Alf: Przeminie, jestem nawet bardzo wesoły.
Zof: Maskujesz się. Jesteś zdenerwowany.
Alf: Nic mi się zdaje. To przejdzie.
Zof: Masz zmartwienie?
Alf: Żartuję! (śpiewa)
Zof: Mówisz mi prawdę!

alf: Mi kouiczynie.

zof: Pewnie, ja Ra ciebie jestem kimś zupełnie obcym.

alf. Wcale nie! Tylko ta rzeczy, które powinny cię bardzo mało obchodzić. —
Powiedz mi rzecz ten Belski dlaczego?

zof. Nic! Tak sobie tylko przychodzi.

alf. Wotrzęsiny. A na co on cię bierze?

zof: Mnie? Jestem zupełnie zdrowa. Słuchaj, daj mi słowo honoru, że nikomu tego nie powtórzysz, to ci coś opowiem.

alf: Co takiego?

zof: Wiesz, ten Belski jest paralityk. Kocha się we mnie i oświadczył mi się.

alf: Kiedy?

zof: Przed trzema przyjściem. Żebyś ty widział co on mi wszystko mówił.

Alf. a Ty?

Zof. Powiedziałam mu, że jesteśmy zaręczani, że Cię kocham, a za mnie nigdy nie wyjdę.

Alf. Bardzo Ty mnie kochasz Zosiu!

Zof. Ah tyle razy już ci mówiłam. Bardzo-bardzo.

Alf. Powiedz mi czy Ty byś mogła żyć bezemnie?

Zof. co za pytanie.

Alf. a gdyby tak wypadło. Napr. gdyby mi się / ja mogę umrzeć.

Zof. Dzisiaj tak Dziwnie mówisz.

Alf. Żegnaj mi serce. Gdybym ja umarł. co byś Ty robiła?

Zof. co ja bym robiła. Wtedy moje obuła.

Alf. A gdybym ja Cię opuścił?

Zof. Wtedy tak samo.

Alf. Nie trzeba wszystkiego brać za tragicznie. Nad wszystkiem musi się człowiek zastanowić.

Po co miałabyś się bać? Żyjesz jeszcze
pięknem, bardzo pięknem, tylko musisz
się ją otworzyć na przyjęcie i użycie.
Czy nie mogłabyś podjąć życia
z polskim Rzeszem?

Zof: Kiedy?

Alf: Po mojej śmierci. Kto wie co mnie będzie.

Zof: Alfred! Ty jesteś za bardzo zdenerwowany.
Ty masz jakieś zmartwienia. Prawda?

Alf: Tak! Mam zmartwienie, ale nie pytaj
się o to. Niech to ciebie nie nie obchodzi.
Daj mi Twoją rękę. Twoją miłą, białą
delikatną rączkę. Co ci mówił Reski?

Zof: Żebym rozłączała jego imię, że on mi
stworzy życie jakiego Ty mi nie jesteś
zdolnie dać.

Alf: Jakiego ja ci nie jestem zdolnie dać.

Skąd on może wiedzieć co ja ci jestem
winien dać, a czego nie.

Zof: On tak tylko mówi. Nie można się
mścić nad tem tak zastanowić.

Alf: Pan Bolski robi na mnie dziwne
wrażenie. On mnie musi serdecznie
nie lubić. W każdym razie antypa-
tya jest obustronna.

Zof: On może jest sympatycznym człowiekiem.

Alf: Jak dla kogo. (milczą)

Zof: Taki jesteś dzisiaj smutny i ponury.
Może będziemy razem książkę czytali

Alf: O nie-nie. Teraz nie mógłbym
spokojnie czytać. (milczą) Chciałbym
wyjechać saniami, sam, gdzieś daleko-
daleko, gdzieby ludzi nie było. I tam
wsłuchać ciszy, wpatrzeć się w jego pola,

skarżyć się, wyporzyczyć wszystko co mnie boli... – Nie: Chciałbym pojechać z Tobą. Obyć Cię mojemu pamiętniu, Żyć byś się To mnie przytuliła i opowiadała mi o jakiemś bardzo szczęśliwem wymarzonem życiu. Wtedy uspokoiłbym się, a może zapomniał...

Wf. 6 czem?

Alf. 6... 6... o mojem życiu teraźniejszem

Wf. Czy ci tak źle jest?

Alf. Bardzo źle

Wf. [1] Czy może przyszłość.

Alf. Może – to tylko przyszłość.

Wf. Teraz ci źle. Jutro będzie Tobie jako się uspokoisz. Myślałam dzisiaj, kiedy może byłeś nasz ślub. Może już za trzy lata.

Alf. Za – trzy – lata. Przez ten czas wiele może

się zmienić. Bardzo wiele. Kto to może
wiedzieć co będzie za dwa lata. Marta zasmu-
zof. Ty jesteś dziwny mężczyzna trochę dziwnym.
Co Ty wygadujesz? Jak Ty to mówisz?
Musisz się uspokoić, zapomnieć o Twojem
zmartwieniu.
alf. Tak-tak! To jest kamienne to jest bardzo
kamienne ale niemożliwe. Ty mnie
uspokój Zosiu. Przysuń się to mnie,
oprzyj głowę na moich piersiach, ja
obejmę cię i będzie mam się zdawało,
że jestjemy gdzieś bardzo daleko. (Stoją chwilę
w milczeniu) O czem Ty myślisz Zosiu?
zof: Że jestjemy po jakiejś długiej drodze,
zasypanej śniegiem, a na końcu tej
drogi jest most, przez który mamy
przejechać. Pewnie to przyjemnie tak jechać.

(Alfred wchodzi) Czemu mi nie otworzyłaś?

Alf. Mnie się zdaje, że jesteśmy na tem moście, ale on się załamał, a my tonięmy w ciemnych nurtach rzeki. Brrr.. Jakie to straszne uczucie.

Zof: (wyrywa się z jego objęcia) Nie żałuję. Ja sądziłam, że się uspokoisz, a Ty... znowu... (Płacze wybiega z pokoju. Alfred powtarza chwile niemowlęcy, potem wraca na środek i mówi z wyrzutem tonie) Ja to jestem cały w rozpaczy przekleństwa. Idź idź tę niewierną za nią ... Jestem jeszcze jej niewolnicą bo mnie zawsze poniewiera, a ja ją kocham, a drugą będzie nienawidzę, gdy się o tem dowie (Nagle wybucha gwałtownym śmiechem) Ha! ha! ha! ha! (Wybiega z pokoju)

Act III

Pokój Henryki taki sam jak w pierwszym akcie, z tą różnicą, że w takim stoi jeszcze mały wózek dziecinny. Henryka biała siedzi w ramym miejscu przy stole, przed nią leży stara kapelusz z piórem. W ręku trzyma list.)

Wład: Dostałaś list?

Hen: Tak. Od kota pani. Wzywają zabawę. Czysty pochód na cześć potrzebki.

Wład: I czego one chcą od ciebie?

Hen: Właśnie, że nic. Bzięczą mi za tatychczasową pracę w kole i usprawiedliwiają się, że sporami im to prawdziwą potrzebkość, że to koło nadal należeć nie może, bo liczba członków jest teraz ściśle ograniczoną. Ha, ha! Jak głosy są ściśle ograniczone. Boją się widocznie mojego

dziecka na wychowanie nie dała. Do domu
powróciła. Jam teraz nie wypada, że bym
ja to mieu mawiała. Wiesz Rawego? Bo
ja mam niedbałe dziecko. Teraz u
nich jestem już taką, o jakiej w dobrym
towarzystwie wspomnieć nie wypada.
Ale mieć ich dzieci, a karte z innym
to wypada bo to wszystko pod płaszczy-
kiem mieia się dzieje. Ha, ha!

Wład: Po co Ty o nich mowisz? Szkoda języka.

Hen: Wczoraj na ulicy spotkałam
Rewickiego. Pamiętasz jak mię adoro-
wał? Na wyciągach zawsze koło mnie
chciał siedzieć. Wczoraj, jak mnie
ujrzał z daleka, przeszedł na drugą
stronę, udawał, że mnie nie widzi.
Jemu pewno nie wypada kłaniać mię się.
Bałwan!

Wład: Dziwię się, że na takiego Reskiego zwracasz uwagę.

Hen: Wcale nie zwracam uwagi na takich Reskich, bo jest ich więcej tych panów co mi się teraz nie kłaniają, spotregam tylko jak parobki rozgrzeszą się ostatnie ostrzają. Co ci powiedziałam parę razy razem sprawdzają. Sędzie powiadają mniej więcej.

Wład.: Ty na mnie nie zważaj. Oni teraz na ciebie nie zasługują. Jesteś teraz panią sama na siebie.

Hen: Myślisz, że to jest przyjemne?

Wład: Mniejsza o to. Ty bądź teraz dumniejszą niż byłaś. Żyw im zaimponujesz. Za parę tygodni zaczniesz chodzić jeszcze nie wykładzy, po tych latach

rostaniesz samotnie, bezpiesz się
mogła sama utrzymywać, spokojnie
wychowywać swoje dziecko, a wtedy ci wszyscy,
którzy dzisiaj mię chcą się wdzięczyć na
mieszkanie, znowu do ciebie się zbiorą, a
wy ein powiesz, ja was nie znam
i znać nie chcę.

Hen: Mamenie - takie mamenie. A powiedz
te swoje lata z czego utrzymywać się
będę?

Mat: Pewnie z tamtej sostajesz co miesiąc
pieniądze.

Hen: Posyłają bo myślą, że się mere. A
jak się o tem całem zajście dowiedzą?
Przypuszczam, że będą takej posyłali?

Mat: Tego nie wiem. Jeżeli ci będą wtedy
dawać utrzymanie dobrze. A jeżeli

nic to nekcyami zarobisz trochę, a
reszte... Prawicz my mieszkamy
razem, mamy wspólne wydatki, jeżeli
Tobie zabraknie pieniędzy, to ja mam
ich dosyć. Kiedyś wprzyszłości to mi
oddasz. Najcięższe czasy już przeszły,
teraz gorzej być nie może, tylko lepiej.

Hen: Ależ Ra mnie już tyle się przycałą.
Crem ja ci się odwdzięczę:

Wład: Jak tylko mnie będziesz kochać, to będę
Ra mnie całą zapłacą. (Wpis to wzięcia)
Spi ten mały. - Powiedz mi Henryku, czemu ty jesteś dzisiaj smutna?

Hen: Boję się czegoś. Jak ma się co złego stać, ja to zawsze przeczuwam. A dziś tak się boję, tak bardzo się boję.

Wład: Uspokój się. To tylko nerwowe uczucie. Może zle spałaś?

Hen: Nie! nie! To nie nerwowe. To zupełnie coś innego. To przeczucie.

Wład: Przesąd.

Hen: Gdyby tak było. czy idziesz dzisiaj na wykład?

Wład: Dopiero po południu. (Słychać dzwonek rowerowy) Jeszcze nie posprzątane, a tu już panna wizyta.

Hen: Nie nie szkodzi. Ewunia jak koleżanka. (Wchodzi Stanisławowa)

Stan: Jakiś pan przyszedł do pana Henryki.

Hen (wstaje) pan - do mnie?

Stan: Tak! Wyraźnie pytał się o panienkę.

Jan: Jan! Kto to może być?

Wład: Nie można się długo nad tem zastanawiać. My przyjmiemy to drugiego pokoju, a Stanisławowa niech poprosi tego pana.

Stan: Dobrze proszę pani. (wychodzi)

Wład: A ty się prędko ubierz. (wychodzę)

(Wchodzi Morski. Rozgląda się po pokoju. Stoi przy piecu.) Więc tutaj mieszka moja córka. Tutaj mieszka moje dziecko. (oglądając) Nawet dość skromnie jest umeblowany ten pokój. Ona musi teraz wiele cierpieć. Ale trudno. Ja cierpię może więcej niż ona. (postępuje kilka kroków naprzód. Głośniej) Dziecko! (Nie to różowa-przestaje) Wtym dziecku płynie moja krew.

Nie potrafi by sprawić to malżeństwo
mnie starości, gdyby ... (Wstępuje do wójka)
Nie mogę dać się porwać miłości
mamki do wnóka. Honor mój za
nadto mierzi. (Idzie do stołu. Klaśnie
kapeluszem i rękawiczki. rzeka mierzi się. —
W tym czasie staje Henryka.

Hen: (z przerażeniem) Mój ojciec! (opamiętuje się. Jakoś
wesołości) Jak się tatko ma? Tak
niezgorzianie ...

Morska: Nie witaj się ze mną. Już nie
jesteś moją córką.

Hen: (załamuje ręce) O Boże! Ów już wie o tem.

Mor: Tak jest. Już o tem wiem. Cóż Ty
zrobiła? Ty niegodna córko?

Hen: (płacze)

Mor: Nie odpowiadasz? Ja za ciebie odpowiem.

Rzuciłaś hańbę na nasze nazwisko,
splamiłaś naszą sławę. Zbezcześciłaś
nas. Zhańbiłaś! Tos'Ty zrobiła.
Z kim? Ja nic nie wiem. Nie jest on
więcej wart od ciebie. A Ty: Nie jesteś
godna nazywać się Morska. Splamiłaś
już to nazwisko. Wypędzę
wyrodną córkę, z błotą wypędzę.

Hen: Ja go kocham ojcze.

Mor: Ty nic nie mów teraz o miłości. Wiesz co to rozpusta?
To! A może i on ciebie kocha?

Hen (z wahaniem) Tak!

Mor: I Ty jemu wierzysz naiwna dziewczyno:
Gdyby on ciebie kochał, to na drugi
dzień po ślubie z którym straciłaś
swoją cześć, on byłby to znie

przyjechał, błagał o przebaczenie i prosił o
Twoją rękę. Więcej mógł bym ci jeszcze
przebaczyć.

Hel: A dzisiaj?

Mor: Dzisiaj już nic mogę. – Ja sama
nic wiesz co nam przadło. Ale długo
nam wygrażało. — We wsi to całymi
paczkami tam nas wyłykają, a mię
przy sobie gadają, że córka dziedzica
to panienka nie w mieście. (Chwila milczenia)
Matka, biedna mama, podziwiała się gwiaz-
dzienie. Rodzeństwo nic nie chce znać.

Hel: Straciłam już wszystko. Rodziców,
siostry, braci...

Mor: Jak jest, straciłaś nas już bezpowrotnie
bo tamci przyjąć cię teraz nie mogą.
Z tą myślą musisz się oswoić

ze Tomu potępieńczego już nie mam
i utrzymania i pomocy z Tamtąd
nie dostanie.

Hen (cicho) Ah!

Mor: Ja Tobie nie skąpiłem. Chciałaś się
kąpać, posłałem cię do miasta. Dawa-
łem pieniądze bo zażyłem, że się myjesz,
a Ty wyszukałaś sobie kochanka,
ranęłaś romanse no i teraz mam skutki
Twojej miłości. Ja temu nie winien.
Każdem się tak wyspi jak sobie pościele.

Hen: Więc Wy mnie już znać nie chcecie?
Ja dla Was już nie istnieję? Czy
błąd mój, mój nie rozważny krok
już nigdy naprawionym być
nie może?

Під морем має право перебувати
[illegible]. І [illegible] не [illegible],
а [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible], [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible].

Morski: Cwarem morze być napraniony.
Ty mogłabyś gnoru do domu powrócić,
gdyby on, ten Twój idealny kochanek
pojąć cię za żonę i tym sposobem
gnazać hańbę ciążącą na Tobie i
na nas. ")

Hen: A jeżeli on tego nie uczyni?

Mor: Haurego niałby tego nie uczynić?
Jeżeli on ciebie kocha naprawdę,
jak Ty to twierdzisz, to on to zrobi.

Hen: A jeżeli on tego zrobić nie może?

Mor: W tedy trzeba nas na gawrze!

Hen (po chwili do siebie) Z czego ja żyć będę?

Mor: Niech cię utrzymuje Twój kochanek.

Hen: (z rezygnacją) Dobrze! Wy mnie nie znacie,
ja Was teraz zaraz nie znam.
Nie potrzebuje od Was pomocy. Mój

hańbiciel będzie mnie męczyć mymi,
mnie i mojego syna, który się
takie Morski nazywa.

Mor: Niestety.

Hen: A jak ja go wychowa mię będę mogła, to go oddam do domu poprawki. I wszystko Morski będzie figurował w domu poprawki.

Mor: Nie! do tego nigdy nie dojdzie. do tego ja nie dopuszczę!

Hen: Jakiem prawem. Dziecię mnie jak nie żna. Ja jestem jakąś zupełnie obcą Morską skandalizować się prowokację, która spłodziła nieślubne dziecko i oddała je do domu poprawki. Czy nie to może kto zabronić?

Mor: Rób jak uważasz za słuszne.—

Widzę, że moja Wujaszka byłoby lubiej jeszcze zobaczyć. Otwórz! Do tamtej nie piszę bo Twoje listy będą mi otwierającej Tobie zwrócone. (Otwiera się – wyjmuje z portfela kilka banknotów, które kładzie na stole) Pozostawiam ci trochę pieniędzy, abyś mogła spokojnie wyszukać sobie jakiego zajęcia. Więcej otrzymać już nie nie dostaniesz.

Hen: Nie chce tych pieniędzy. Ja nie potrzebuję ich!, Ja nie mam potrzeby, nie mam nikogo, od którego jałmużny nie przyjmuję! (Rzuca pieniądze i gwałtem wkłada je Morskiemu do ręki.)

Mor: Ha! Trudno. Chciałem jak najlepiej. Wiem, że jesteś w nędzie.

Hen: (z ironią) Głupstwo! Mój hańbiciel będzie

mnie teraz użyczyć, a jak on nie będzie mógł — to i mnie!

Morski (patrzy z dziwnym na Henryka potem milczeniem)

Bądź zdrowa! Życzę ci powodzenia.

Hen: O! powodzenie mieć będę, a co do zdrowia to już nigdy nie będę chorowała (Morski wychodzi)

Hen: Sama teraz zostaję sierotą. Sama jedna co potnie? — Alfred nie mi żal, nie może bo sam ma zbyt mało! — a rzeczy? Co ja potrafię? Nic! Mam tylko szkolne wykształcenie. — Lekcje? Kto mnie przyjmie? — Co ja zrobię? Co się stanie ze mną? O mnie mniejsza, ale to dziecko? To biedne nieszczęśliwe dziecko. Co z nim się stanie? (w chwili widzi)

Wład: To był Twój ojciec?

Hen: Tak!

Wiat: Wiedzą o tem w Sanie?

Hen: Wszystko wiedzą.

Wiat: Co ci mówił?

Hen: Wyrzekł się mnie. Wszyscy się wyrzekli: Ojciec, matka, siostry mo-i brama.

Wiat: Przykra historyja. Na utrzymanie ci Saiza?

Hen: Poradził mi ojciec, żeby mię mój kamerdyner utrzymywał. Poradziłam mu, że tak zrobi.

Wiat: Na to się poradzi. Zajęcie się znajdzie.

Hen: Ojciec chciał mi postawić pieniądze abym mogła spokojnie poza granicą żyła, ale odrzuciłam mu.

Wiat: Nic nie szkodzi. Mam teraz trzon

rzeczy gotowi to nam wystarczy.

Hen: Nie chce żyć Twoim ciężarem.

Wład: Jesteś zanadto jeszcze młoda. Nie dobra i rozumy nie
sprawiają mi przyjemność.

Hen: Przebacz, nie chciałam.

Wład: Na przyszłość nie mów bez zastanowienia się.

Hen: Czasem, to się przez to co się czuje, tak
prosto z serca.

Wład: A czasem, to się przez: Komu przykrość —
tak prosto z serca. (Wchodzi Jaremówna —
mówi wesoło - szybko)

Jaremówna: Dzień dobry kochani (wita się z nimi)
Przebaczcie, że tak wcześnie, ale spieszę
tylko na chwilę. Mam do Was
małą interesik, a właściwie prośbę.

Wład: O co się Wam rozchodzi

Jarem: Na początku roku objęłam lekcje, którą

chciałabym chętnie opuścić bo mi mam
cram, a bardzo potrzebna mi mię jest.
Powiewa tak dżdżi mię mogę i pot
konie jakie szkaluego mają mieszkanie
zostawić na lotnie, przeto przyszłam
do Was z prośbą i przepowiedzą, czy byście
Wy jej mię obyły. Jest popołudniu.
Nawet przypominam sobie, przed
kilku miesiącami szukałyście kore-
petycye, a zatem?

Wład: Tak jest. Szukałam i znalazłam.
Co do tej lekcyi to mam nadzieję, że
jeszcze z nas ją obejmie.

Jarek: Tak? To byłoby mi bardzo przyjemnie.
(Wyjmuje papierośnicę) Koleżanki pozwolą?

Wład: Nie! Nie używamy tego modnego teraz na
kobiet — sportu.

Jarr: Mówię Wam bajeczną rzecz. (zapala papierosa) Co to za przyjemność... Pale jak niejszyna.

Wiat) Przyjemniej w rzeczy patrzenie niejszyne nasiadowe, a właściwie tarówno i tarzymać krakę.

Jarr: (nie rozumiejąc jej słów) A tak! Przy pierwszej emancypacji, w czasach kiedy my kobiety zdobywamy sobie takie same prawa jakie mają mężczyźni..

Flen: Więc zdobywanie od pierwia do zapierania.

Jarr: (urażony) Ależ nie tylko...

Flen: Przepraszam. Jeszcze pierwsze na pokoje i grania w billard.

Jarr: (pewniony) Emancypacja lepiej rozumie pojmują. Ale wracając do tematu, co to objęcia lekcyi. Czy kobiety objęcia?

Wăt: To jest tvesiya, mad, kóre trebe się trochę rastămović. (do Henryki na ucho) Ty moje obejmies?

Hen: Nie wiem jesmie.

Wăt: To nanyśl się.

Hen: Może nie bętę patrzeć?

Wăt: Nic z tego nie rozumie. Bętąc z takim pačoźeniu jak Ty..

Hen: Wšešnie wšyscy bętąc z takim pačoźeniu ino ja — mozime lekcyj nie patrzeć.

Wăt: (do Jana) Nie morimy Wam dać teraz stanowczej odpowiedzi. Nanyślimy się, a popołudniu bętę na wyššatech to Wam odpowiem.

Jar: Bardzo dobre. Ja tylko mogem, że lekcya jest popłatną i to tego wam bardzo powątpiewam i moralnym. Ale ja Was rozumiem. Żałuję to popołudnia.

(żegna się — odymadi)

Wiat: Wiesz, Twoje postępowanie jest dla mnie zagadką.

Hen: Być może.

Wiat: Nie być może, tylko tak jest. Takie postępowanie jest dla mnie niezrozumiałe.

Hen: Zrozumiesz mię za kilka.

Wiat: Ciekawam - bardzo jestem ciekawa. (Spaceruje po pokoju) Powiedz mi kiedyś mię obiecasz tej lekcyi?

Hen: Czy ja wziąść mogę?

Wiat (zdziwiona) Dlaczego nie?

Hen: Mam pokój.

Wiat: Napozyklad jaki? Dobre pytanie, dam pokrętny...

Hen: Ależ to właśnie. Dobrej jestem, że moralny. Jaruwska powiedziała, że pokrętny i moralny. Jak dam

moralny, to ta miła panienka jest takie moralna. Jak ja mogę ją mieć i wychowywać, ja osoba zupełnie nie moralna? Czy Wy się nad tem zastanowiliście? I Wy dopuszczacie, jak ja byłam tam postawiona, przestawiła się, czy oni nie potrzebowali „nie" i jakaraki Wam? Czy oni nie mogą pozwolić wychowanie ich córki? Ja sądzę, że nie.

Mat: Wy zanadto pesymistycznie na to spokojne się zapatrujecie.

Jan: Lepiej pesymistycznie, niż zanadto rozumowo.

Mat: Ale z takim zapatrywaniem się na wszystko to nigdzie nie wyjdziesz. Trzeba sobie czasem potrafić dowcipić otuchy. Pesymizm tego nie ta - przede wszystkim.

Hen: Mniejsza o to. Lekcye nie odejmę i o jej
odpowiesz.

Wiąt: Dobrze! Ciekawa jestem co teraz będzie robiła.

Hen: To jest moja rzecz! Namyślę się. (wchodzi Stanisławowa)
Stanisławowa. Proszę panienki, jakieś panie przyszły
do panny Wiązi.

Wiąt (do Henryki) Pewnie znowu jakie koleżanki.

Stani: E nie, bo to jakieś starsze już i
eleganko ubrane. Pewnie przyjaciółki.

Wiąt: Niech Stanisławowa poprosi.

Hen: Ja pójdę do drugiego pokoju.

Wiąt: Dobrze. Ja się zaraz przebiorę,
a Ty namyśl się prędzej tem czasie
co masz robić. (Henryka wychodzi)
(Wchodzą dwie starsze panie)

Pani! (do Wiąt) Dzień dobry pani. Bardzo panią
przepraszamy, że tak rano zachodzimy...

Wład: Nic mię nie obchodzi. Panie mię przerwać. Proszę
mówić.

Pani II. (oglądając pokój przez finezurę) To dobre —
to bardzo dobre mię składa.

Pani I. Pani może nam podziękować chwilkę
czasu?

Wład: Proszę bardzo. A czemu mogę służyć.

Pani I. Ah! Kapitała. Tylko łaska z pani strony.

Pani II. (przerywając)... Dobre chęci z pani strony.

Wład: Ależ o co się rozchodzi?

Pani I. Nie chce pani zabierać nie te drugiego
czasu. W krótkości pani powiem po co
przyszłyśmy. Jesteśmy delegowane z komi-
tetu pań towarzystwa dobroczynnego „Słońce
życia" powinnie już pani o tem towarzystwie
słyszała. Prawda?

Wład: Tak — coś — nie coś ---

Pani I. Oldź w tym roku...

Pani II. Jak lat ubiegłych...

Pani I (do pani II) Ma chère, nie przeszkadzaj mi.
(do Mąt) Oldź w tym roku, towarzystwo nasze
urządza bal.

Mąt: O to panie źle trafiły, boją na
bale nie wpuszczam.

Pani I (niezadowolona) Pani powinna nie żartować
i Naszego pana na bale nie chodzi.

Pani II. Pani nie musi żartować ale
pani może być w nas w komitecie.

Pani I. Właśnie o to się rozchodzi główne.
Przyszłyśmy panią prosić do komi-
tetu. Bardzo nam potrzeba kilka
młodych energicznych panien

Pani II. Bardzo nam potrzeba.

Mąt: Nie jestem wcale energiczną, a

z kamienicy jeszcze nic byłam, zatem skąd
mogę panią być pewną, przecież nawet...

Pani II. To najmniejsza.

Pani I. Ah! Bagatela. To pani będzie robiła
to co inne panienki.

Wiat. Nie mnie kokie tworzć pani.

Pani I. Ah! Bagatela! To pani...

Wiat ... będzie tak robić jak i inne panienki.

Pani I. Nie to myślałam. Pani taka dokuczliwa.

Pani II. O! Bardzo-bardzo, I pani to robi tak
avec plaisir.

Wiat. Proszę pani! Żdaje mi się, że tutaj
zasłała pomyłka adresu, bo panie
pewnie się wybrały do mojej przyja-
ciółki, która już kilka razy z podo-
bnym towarzystwem była jako kamienicowa.

Pani I Pani przyjaciółka?

Pani II. Kto to taki?

Wiat. To jest panna Henryka Morska.

Pani I. Panna Morska? Broń Boże! Wyśmy wcale
to mój nie przypuszczy.

Pani II. My to mój? Boże uchowaj.

Wiat. Co się pani tak poprzerażały? Bóg
się nie myle o byłą już w komitecie
u Pan.

Pani I. Tak-tak, była, ale - teraz - po tym
ostatnim zajściu jakie było. Mam
dziś - tudzio

Pani II. Waściwie - co się stało? Po jakim zajściu?

Pani I. Ah! Bagatela. (Mówi jej to ucha)

Pani II. Ah! Fe! Nie można jej wziąść do komitetu.

Pani I. Nie wypada...

Wiat (z ironią) Ona jej nawet nie posyła.

Pani I. Nie posyła? Taka dumna?

Pani II. Ma się czem szczycić. Aussi nie cause to zatrzaniu nosa.

Pani I. Kobiéta, żeby coś podobnego zrobiła?

Wiat (zwracając) Dotychczas tylko kobiety rozpiły.

Pani I. Nie to miałam na myśli. Ale że by kobiéta była tak bez honoru..

Pani I. Tak bez ambicyi — sans honneur

Wiat: A czego ona ma się wstydzić?

Panie (nie odpowiadają)

Wiat: A czy panie wiedzą jakiego ma kobiéta na świecie?

Pani I. Kobiéta powinna być skromną...

Pani II. I cnotliwą...

Pani I. Przeciwszystkiem gardzić mężczyznami.

Wiat: Uhoborać czyściś i co jeszcze? Nic-? To panie słabe wyobrażenie mają o powołaniu kobiety.

Pani I. A jakie pani ma pojęcie o celach kobiety?

Wład. Celem kobiety jest rodzić matką i wychowywać dzieci potomstwo. Jej rzeczy dobrego robi na społeczeństwa, niż być skromną i cnotliwą żoną w domu. Głównym pani "i gorzej mężczyznami. A jak widzę panie są chyba starymi panami.

Pani I (mojna) cóż znowu?

Pani II Jakie mojna (do pani I) My stare-zły rozsądek.

Wład. Nie miałam w całe zamiaru pani obrazić. Panie nie wychodząc za mąż powinny tylko według zasad dobrego co wychowanych.

Pani I. Tak jest. Jesteśmy panami ale wyprzedzamy sobie dotarków.

Pani II. Pani mówi stare panny, a my
mówimy pisma za mąż wyjść.

Pani I. Ah! Bagatela (do pani.) Ma chère, zwracasz
uwagę na takie drobnostki.

Wład. Panie mają zasady z wyjątkami.
Bardzo wygodna zasada.

Pani I. Tak jest. Bardzo wygodna jak dla kogo.
Co do mnie z'cisle się do niej zastosuję.

Pani II. Mówiłaś przecież, że ...

Pani I. (przerywa prędko) Ależ, ma chère, powyższymy
tutaj panią prosić do komitetu, a nie
na dysputy.

Wład. (śmiejąc się) W której nic mówimy pogodzić się.
Co do tego komitetu to mnie pani na
nim nic liczą. Jeżeli pani panó-
wią z moją przyjaciółką panną Morską...

Pani I. Nie! Nigdy!

Pani II. Broń Boże! Po co? Ona to kamienie? Jeszcze czego?

Pani I. Taka ladaco!

Wład: (ostro) Teraz ja sobie wyprasuzam sy-
pania epitetów mojej przyjaciółce.
Czy panie rozumieją? W końcu uważam
Talszą rozmowę za zbyteczną.

Pani I. Chodźmy bo zaczyna się nas tutaj
obrażać. (wyjmuje)

Pani II. (w drzwiach) Taka smarkula z uniwer-
sytetu. - Arrogantka.

Wład (przez drzwi na scenę) A nie pozpadajcie
ze schodów stare purchawy bo się
rozbijecie. (Wszyscy wychodzą na ulicę,
idzie do pokoju Henryki)

Wład: Pamiętaj sobie Henia, że stare
czupiradła z tego to warzywa przyszły

mnie porosić to-ko-mi-te-tu.
Ha! ha, ha. To bie posłali z teatru
odzyścia teraz się to mnie bierą.

Hen: Słyszałam całą rozmowę z tamtym
panem. Dobrze zrobiłeś, żeś mię przy-
jęła i ten propozycyi.

Wład: Cieszy mnie, że miałam sposob-
ność tobie się wygodzić. Użyjo
mnie to.

Hen: Szkoda tylko, że tak krótko były.

Wład: Wyjdę na chwilę do miasta.

Hen: (zapowiniała) Mam do ciebie prośbę.

Wład: Jaką? Żmajwiększą przyjemnością.
Potrzebujesz czego?

Hen: Tak. Pamiętasz, wczoraj napisałam
list do Alfreda. O miesiąca już
nie być u mnie. Doniosłam

mm, że jest – ojcem. Radźcie mu wyrzuty, za nic odpowiadanie na moje listy i napisańcie mu, że jeden z pierwszych do 11stej w mieście nie będzie to ja sama przyjdę do niego, a czy mu to przyjemnem będzie to nie wiem. Idźcie teraz nauczyńcie się. Jeremiasza już dawno minęła, a jego jeszcze nie ma i zapewne nie przyjdzie. Napiszę list do niego, a wy bądź tak dobre zanieś go.

Wład.: Dobrem. Przechodzę nawet tą ulicą.

Hen.: Idź ubierz się żywiraszem, a ja napiszę.

Wład.: Idź, a z tą lekcyą i obejmiesz?

Hen.: Nie.

Wład.: Myślałam, że się nauczysz co nasz robić.

Hen: To też się namyślałam.

Wiat: Co zrobisz?

Hen: Myślę o to. Zgodzisz się.

Wiat: No, zbieram się. A Ty jesz. (wychodzi)

Henryka (siada przy biurku i pisze list, żałuje go. Ze złością drze papier na kawałki, otwiera ją, czyta, po cichu woła:) Wiatka, nie wyjdziesz Ty po wypadkiem, takiej małej plamecki pachnącej gorzkimi migdałami?

Wiat: (wraca z kapeluszem) Schowałam ją. A co ci po mnie?

Hen: Lubię jak wszystko jest na swoim miejscu. Ta plamecka tutaj stała, postaw ją napowrót.

Wiat: To tamtejsza, Na tego wołałam wzięłaś ją z tąd.

Hen: Jesteś śmieszną. Cóż z tego, że tamtejsza?

Wiat: Wybacz, ale byłaś dawniej tak zdenerwowaną, że obawiałam się, abyś mię prosiła jakiego głupstwa.

Hen: Już więcej prosiła chorującą to powtarzam.

Wiat (wyjmuje z kosiążek monetę złotą) Z kąd Ci to masz?

Hen: Raz był u mnie alfred i pokazał mi trzy takie takie złote. To jest cyanek-potasu. Dajesz mu trucizna. Dwadzieścia sekund po zażyciu już się nie żyje. Więc tam nie jedzmy, a on nad-nie pat umiał się na to zgodzić.

Wia: A co ci teraz po niej?

Hen: Nic! Niech tutaj stoi.

Wiat: Dobrze już. (wrzuca z powrotem)

Hen: A list?

Wāt: Mam się rozumieć, że wezme ze sobą.

Hen: Żadzoń, otej go, niech bar się z konwersacye i otchoż zarar.

Wāt: Dobre-dobre, wszystko zrobi jak sobie ojczyzn. A z miasta nic potrzebuje mego?

Hen: Nic. Juri niczego nie potrzebuje.

Wāt: Jakto Juri niczego?

Hen: No-bo wszystko mamy.

Wāt: Dorzenia. Idź Juri. (podaje Henryce rękę) Serwus.

Hen: Dorzenia. (całuje ją w rękę Ruri v swojej Łoni) Dziękuje ci za - za otnieście mi tego listu. (całuje ją) Dorzenia Wātrju (Wātrychowi)

Henryka (bierze szklanke i idzie z nią do szafki. Wyjmuje flaszeczke, wylewa do szklanki i stawia ją na stole. Idzie do zlewczyka myje się - całuje zlewek. Następnie siada na krześle przy stole. Wypija trunek, opuszcza rękę z której ma

prośna szklanka przez parę kawy. Po chwili głowa przemyła się z łyż, szklanka wypada z ręki. Na odgłos stłuczonego szkła wchodzi Stanisławowa.

Stanisławowa: Panienka znowu szklanka stłukła? Tyle ciągle szkody. (przypatruje się jej uważnie) A co panienka tak siedzi? Usta otwarte, ręce rozłożone, oczy na sufit wzniesione? (niecierpliwie) Niech się panienka śpieszy, bo ani cztorieka stracu biere. No niechże panienka co porze. (przybliża się do Henryki, bierze ją za rękę, potrząsa, ręka bezwładnie opada) Co to jest? Panienko! (potrząsa nią) Boże! Ona nie żyje! Otruła się! (załamuje ręce - odsuwa się od niej) Co to teraz będzie na świecie!

Rany! Rany! (Płacze) Co się teraz stanie z tym dzieckiem. (Rozumiejąc) – A to pewnie wszystko przez tego co to do mnie tutaj chodził. (Wyciąga pomału z pudełka, stoi stanowczo na scenie) Ludzie, gwałtu, ratujcie, Ludzieee ... .

Text IV

Salon pani Żakierskiej elegancko umeblowany. Meble antyczne, na ścianach portrety z końca 18 wieku. Żona pudruje się przed lustrem. Żbaku stoi stolik, przy którym siedzą: Alfred i jego przyjaciel Mieczysław Pilski.

Mieczysław: Mówię ci Fredek, tego uniesienia co spotkałem za granicą nie zapomnę nigdy w życiu. Zawiłem się od rana, to - rano. Noc, dzień, dzień, noc, wszystko jedno.

Alf (poważny - przygnębiony) Trochę za szybko żeś i przybladłeś. Pierwej lepiej wyglądałeś

Miecz: Co mi tam o to. W naszej, starej, poczciwej mieścinie znowu się potrzepuję.

Alf: Zaczynasz, z naszego miasta robić coś dla miejsce kąpielowe na tyle.

No, nieco się o tem Tonią panią tutejszą to wszystkie wyjątą.

Mieczo: A to byłaby biéda. Nie mogłaby by się człowiek z kimś bawić.

Alf: Znalazłyby się inne zabawy.

Mieczo: Pewnie, lepsze są pomysłowi, ale wiesz, tak żyć nie mając żadnego miłośnika, to przecie trochę głupio. Jak sądzisz?

Alf: Głupio może chwilowo. Wierz mi, czasem lepiej nie mieć żadnej miłostki, bo te się czasem jeszcze głupiej kończą, niż zaczynają. A potem, to człowiekowi tak głupio, że nie wie co ze sobą robić. Najchętniej to by sobie w łeb palnął.

Mieczysław: E! Trzeba zjeść wszystko bierzesz. Ja mieszkam w moim życiu może sto kobietek i nie mi nie jest, i trzeba sto będę jeszcze mieć.

Alf: Jak się komu uda. Akrobata w cyrku, łysiejąc raz robi salto-mortale, a łysiejąc i pierwszy raz gry robi to samo to kark kręci.

Mieczysław: Co ty porównujesz akrobatów i ich kozioŭki do moich miłostek?

Alf. B-o właśnie takie miłostki są jeszcze niebezpieczniejsze niż te kozioŭki w cyrku.

Mieczysław. Bajki wysoki trybunale i koniec. Jakie twoje słuby?

Alf: Pozostawiam com wziął, a

teraz robić Ralej.

Mier: To Ty biedaku zamęczesz się. Ja
Popiero zaczne robić.

Alf: Ha, ha! Mnie co innego męczy,
nie nauka.

Mier. Nap wyjkiał?

Alf: Kłos.

Mier. A! Kłos? - osoba? - Hm. Wielki
znak zapytania. Kobieta?

Alf: Zgadłeś.

Mier: Wybacz, a nie wyskrobuje, ale
cię spytam - może Twoja na-
rzeczona?

Alf: Ach nie! Najukochańsze w świecie
stworzonko.

Mier: Tylko kto? Może jaka niewiastka?

Alf: A tak-tak. I to jeszcze z tych nieber-
pięknych

Meier: Miałeś jakąś kochankę?

Alf. Miesiący mieremy powietrzem obojętnym.

Meier: Ja o mierem mówiem. Nic mi nie mówiłeś. Żeś do jakiejś studentki z miverku chodził to stara historyja. Czyżby z nią były jakie kramy?

Alf: Ba! Jesteś jakie. Nie wiem właśnie jak się ta cała historyja skończy.

Meier: Może powiesz coś więcej?

Alf: Nie ma o czem gadać. Ot zaręczyłem (słowo z dwuznaczną końcówką i wyjmuje list) Przeczytaj to sobie. Dostałem dzisiaj rano pocztą. Wszystkiego się dowiesz.

Meier: (czyta) To niezłe wcale głupia historyjka. (wesoło) No, ale pozdrów sobie pogromcę. Żeby z ciebie

chłopaka, masz już syna.

Alf. Dziękuję ci za tego rodzaju przyjemności. Ty to wszystko biorasz jak jaką parotygę, a ja mam strzelać oczy to z tęb sobie polować.

Mieczysław: Z waryowałeś? Niby kazego? Że tam z jakąś dziecko masz?

Alf. Właśnie, że ona mię jest zdrada jakaś i to całą sprawę robi trzy czwierci.

Mieczysław: Bo w rzeczy samej, jest to wielkie głupstwo. Co drugi mężczyzna ma podobny przypadek i zdaje sobie kazego z tęb nie strzela. A Ty nie pój zdrajcy hańbiciel.

Alf. Ale to jest przykra rzecz. Pamiętaj. Córka posiadacza dóbr, pana z bogatego i dobrego domu, to taki

wypadek, ani na mię, ani na jéj rozpi-
ny to przyjęmności zaciągnąć mię
można.

Mieczysław (rozśmiawszy się) Ej, jak ona z bogatego domu,
to wychowanie dziecka nie cię kosz-
tować nie będzie.

Alf: Żart - żartem, ale mówmy
poważnie.

Mieczysław: A zatem ja się ciebie pytam
poważnie Kaczeyo Ej to mię
przestałeś chodzić?

Alf: Wiesz, miałem jakieś skrupuły,
wyrzuty sumienia, ja nie miałem
dowodu pokazać się jéj na oczy.
Cyganem i niedziałem, że pozięknieje potrze, ale...
W końcu zaczęłem się jéj bać. Ona
stała się na mnie tyranem

czarnym Demonem. Sama myśl o niej
powiarała mnie. Buja mi w mozgu
miętają, ciągle słyszę mi powtarzają.

Mich: A wzięłaś byłeś w niej?

Alf: Nie! Nie miałem otwagi.

Mich: Trzeba być śmiałym. (wyjmuje rewolwer) Jest już
blisko pierwsza. Buna ci pisze, że jeśli
to jeszcze w niej nie będzie, to
przyjdzie sama do ciebie. A byłbyś
w tedy w głupiej sytuacji. Powinieneś
bezwarunkowo wziąć to w niej śmierć.

Alf: Właśnie tego się boję, żeby nie przyszła.

Mich: Morebyś teraz jeszcze powrócił?

Alf: Absolutnie nie mogę. Moja macocha
może swoją matkę, moją przyszłą
teściową betą w nas na obiedzie.
Korzystam z sposobności, aby ciebie

Takie zażyć mać.

Mieczysław: Ależ mój kochany, nie chcę cię krępować. Żegnaj odemnie.

Alf.: Nie-nie. Zostańcie.

(Wchodzi pani Żakierska. Mieczysław kłania się)

Alf.: Pozwoli mama, że jej przedstawię mojego przyjaciela Mietka Pilskiego.

Pani Żak.: (po uczynieniu przedstawienia) Bardzo mi przyjemnie poznać pana osobiście, bo z opowiadania, żarnno i dobrze pana znam.

Mieczysław: Pewnie. Przepraszam najgorąco obecnemi panią dobrodziejkę.

P. Żak.: Owszem, same pochlebne rzeczy o panu słyszałam.

Mieczysław: Może znowu będziemy na moją cześć?

Alf.: Tyle tylko dobrego o dobie mówiłem

o ile ma mię rozumieć.

Mieszk: Nie mogło tego być wiele.

P. Żar: Nie było, to w Karyzmie radzi jest wystarczającem, aby mieć o pana dobre wyobrażenie i cieszy mnie to bardzo, że pan jest tak serdecznym przyjacielem Fredzia.

Mieszk: Do Zięcia tylko Alfredowi, którego mając bliżej trudno mi pokonać i przyzwyczaić się do mnie.

Alf: Mamo, zaprosiłem Miętka na obiad.

P. Żar: Dobrze zrobiłeś. Ja pana również proszę i radzę, że pan naszym prośbą radość uczyni.

Mieszk: Jestem wdzięczny serdecznością jaką mi pani dobrodziejka i Alfred okazują.

P. Jar: Wierzaj mam, że to jest prawdziwe.
(Do okna) Fredzia, Zosia z mamą
są w drugim pokoju, jak tam
na przyszły. Może się pan mnie
przedstawić do towarzystwa?

Alf: Nie, lepiej tutaj. Pójdę obie panie
tutaj przyprowadzić. A Wy Mie-
tek poznasz moją narzeczoną

Mieczy: Jestem niezmiernie ciekawy (Alf. wychodzi)

Pan Jak: Jak pan znalazł Fredzia?
Zmienił się prawda?

Mieczy (wymijająco) Nie można tego jeszcze dziś
Zmężniał w ostatnich czasach.

P. Jak: Ale bardzo źle wygląda. Zniewieniał,
nerwowy, wszystko go drażni.

Mieczy: Ah te nerwy! To ogólna choroba
dzisiejszego wieku. Każdy jest nerwowy.

P. Żak: To prawda, ale on bardzo się żeni. Dawniej wesoły, teraz smutny, mało pije, nic chce jeść, zamyślony. Obawiam się o niego.

Mier: Przypuszczam, że się przestraszył. Wszyt się wiele...

Pani Ż: Daj Boże, aby tylko skończył mankę jak najprędzej.

Mier: Żałuję mi się, jeszcze jeden rok na studjów.

Pani Ż: Jak. A pan czemu się powrócał?

Mier: Ja na prawo zapisałem się.

Pani Ż: Ma pan ładne widoki na przyszłość.

Mier: Bronić wszystkich złodziei.

Pan Żak: (śmiejąc się) To swoją drogą, ale zawód prawniczy jest popłatny.

Meier: Nawet już w czasie ślubnych, mam zajęcie w kancelaryi adwokackiej.

P. Żak. Przejdzie tak być Fotycheras zajęty że nawet nie miał czasu do użalania siebie. — Czy pan wyjeżdża gdzie na lato?

Meier: Byłem teraz miesiąc za granicą.

P. Żak: I co?

Meier: Dawałem się dobrze. Widziałem inny kraj, inne obyczaje.

P. Żak: Co kraj — to obyczaj.

Meier: Żałuję, że Przejdzie nie mną tam nie był.

P. Żak: Po ślubie pojedzie ze żoną.

Meier: Prawda ma narzeczoną.

P. Żak: Bardzo miła i sympatyczna panienka. Może ją pan zna: Panna Zofia Zarska?

(Wchodzą: Pani Łarska i Alfred - popiąpotrawie.

Alf: Powiedz sobie mamusiu, że
nie mogłem skłonić Jozia aby
tu przyszła To pokoju.

Zof: Nie chciałam wejść bo nie chciałam
panom przeszkadzać.

Alf (do Mieczy) Pozwolisz, że Cię przedstawię.
Mieczysław Pilski mój naj-
serdeczny przyjaciel. — Panna
Zofia Łarska - moja narzeczona

Miecz: Bardzo mi miło poznać panią -
panią jako narzeczoną mojego przyjaciela.

Zof: A mnie pana jako przyjaciela mojego.

Alf: Fredzia.

Zof: Na razie jeszcze tylko narzeczonego.

Miecz: W końcu to wszystko jedno. Czy
pani powie Fredzia, czy narzeczony,

na pani jetną i tą samą osobę na myśli.

Józ: Tylko to rozumie brzmi. (stoją przy stoliku. Dwaj się trzy grupy. Alf i Józ i Mieczy — pani Lavina — pani Zak. Wszyscy rozmawiają).

Mieć: Nie chce go pani rozpieszczać przed ślubem.

Alf: Czy myślisz, że po ślubie będzie mniej pieścić?

Mieczy: Ja myślę, że po ślubie przyjdzie pod pantofelek.

Józ: Myli się pan. Zostawcie mnie z tymi mą rolnością. Jeżeli mój marzenia spełnią się różnie ideału mi tości ot.... (zamyśla się)

Mieczy: Ot błota...

Józ: Jak ot błota, to nie będę

miała potrzeby mieć go pod pantoflem.

Mieczysław: Żałuję, że Fredzia pewnie nad Drugie. Prawda Fredek

Alf (pogrążony – nie nie odpowiada)

Mieczysław: Trochę smutny jest Opisz:
Gdyby tutaj był fortepian zagrałbym mu co Chopina.

Zofia: Pan grający?

Mieczysław: Trochę. Wyższym talentem nie odznaczam się. A pani?

Zofia: Tak jak pan. Jestem muzykalną, muzykę szalenie lubię.

Mieczysław: Ma pani ulubionych kompozytorów?

Zofia: O tak! Chopin, Beethoven. To są tacy muzyciele prawdziwi geniusze.

Mieczysław: Chopin smutny romantyk,

Beethoven prosz. Jeżeli pani lubi muzykę pewnie pani pozwoli mi się pogarszać?

Józ: Mamięknie czytam ciernie, ale takie smutne, porywające

Mieł: Coś à la Chopin?

Józ: Jak à la Chopin, Mendelsohn.

(Przy drugim stoliku)

Pani Zar: Słuchaj ta pani tego pokoju kompozycji?

P. Zak: Mam zamiar napisać.

P. Zar: Ja zrobiłam sok malinowy, ale może pani jeszcze mi się uda tak dobrze jak tego roku. Może pani posłać jednę flaszkę.

P. Zak: Serdecznie pani dziękuję. W tym roku będę później sok robiła.

P. Łars: A pomarańczowe skórki mnie pani smażyć?

P. Żak: Co pan je robić.

Mieir: Aby być zakochanym, prosze pani to musi się znaleźć i wtedy. Ja nie byłem tak szczęśliwym.

Żop: Może pan mię szukać? A ona pan ten wierszyk:

„Pokochać trzeba, coś jakoweć
I coś w sercu trzeba mieć!"

Żna to pan?

Mieir: Byłem jiscze małym chłopczykiem gdym to słyszał i nie zeste marzałem się nad tem, że zadawalniam się tą małą ilością krwi jaką mamy w sercu.

Zof: To nic ładnie. Może pan realistą?

Meir: Takie nic. Ja właściwie o nim nic
wiem jak się mam określić.

Zof: Ja pana wyręczę. Przeczytałam
jeden pan stanisz: „Żyjmy dniami,
póki młodzi lata." Prawda z gadżetami?

Meir: No tak, myślę, wszyscy młodzi...

Zof: Młodzież uczyła za mało ma
swobodę ideałizmu.

(Wchodzi służąca mówi coś cicho z panią
Żak i wychodzi.)

P. Żak: Proszę państwa do stołu. Proszę jedynie
do drugiego pokoju. (Wstają z miejsc
słychać dzwonek wchodzą)

P. Żak: Czyjeby gości teraz?

(Wszyscy zwracają się na drzwi z przerażeniem.)

Alf (na bakier do Meir) Miłek to ona. Jaka

nie litościwa. Demon - demon.

Meir: Uspokój się. Może kto inny.
(Wchodzi sługa)

Pani Żak: Kto przyszedł?

Sługa: Jakaś dama chce się widzieć
z panem Alfredem.

Pani Żak: Poproś tutaj. (Sługa wychodzi)

Alf (Bardzo zmieszany) Przegrałem na chwilę,
zaraz wracam. (Wychodzi do swojego pokoju,
wchodzi Adela)

Pani Żak: Pani się chciała widzieć z moim
synem?

Adela: Widzieć — to nie konieczne. Chciałam
tylko oddać list od mojej przyjaciółki
(Pani Żak zdziwiona) Przyjaciółka moja
jest słaba i nie może przyjść
osobiście podziękować za poniesioną jej

książki. (kładzie list na stole) Żegnam państwo. (otwarcie)

Pani Żak: Dowidzenia się z panią.

Mieczysław: (do siebie) Chwała Bogu, że się to tak skończyło.

Pani Żak: Teraz proszę państwa do stołu.

Józef: (do Mieczysława) Może prosić pana o to warzywko?
Alfred pewno cieszy się rajtami i nie wyjdzie z pokoju.

Pani Żak: Panie Mieczysławie, bądź pan tak dobry wejść do pokoju Alfreda i poprosić go do stołu.

Mieczysław: Z całą przyjemnością. (do Józefa) Pani przebacz...

Józef: Proszę bardzo.. (Mieczysław wychodzi do pokoju Alfreda)

Pani Żarska: (do Józefa) Zosiu tylko nie grymasz przy obiedzie.

Józef: Mieczysława się matuszka nie obawia.

(Wychodzi z pokoju Mieczysław blady, poruszony)

Pani Żak: Co panu jest panie Mieczysławie?

Mieczysław: Tam – tam Alfred...

Pani Żak (przestraszona) Co się stało?

Mieczysław: Alfred – coś – sobie – zrobił.

Pani Żak: Jezus Marya mieczysław go z opiece.

(Wpada do pokoju Alfreda – głuszy się z pokoju)

Ratunku (wbiega do pokoju z powrotem)

Ratujcie moje dziecko – po trucizna.

(wybiega z pokoju)

Żak: (do Mieczysław) Co panu się stało?

Mieczysław: Żyć mi się, że się otruł.

Żak: Otruł? Ale on musi żyć jeszcze.

Zawsze kreka mi mówił wychodząc do

pokoju wyszedł z pokoju.

Mieczysław: Są trucizny które szybko działają.

Może pani tam wejdzie?

Żof: Boję się. Nie wejdę.

Mieir: Przecież tam jest Trefpin, pani nauczyciel.

Żof (wraca się chwilę z kimś pani pyje kawa krakowskiego)

Pani Żar: Zosiu zostań tutaj, nie chodź tam.
Teraz on niegotowy abyś go zabiła.

Żof: (z obawieniem) Mamo! (po chwili zamyślenia) Klasnego on to zrobił. — Jak mogła. Czy może pan co?

Mieir: O samobójstwie nie mi nie wspominał. Może mi, że się czegoś obawia, a czego tego nie wiem. Musiał mieć jakieś zmartwienie i to pewnie jest powodem...

Żof: Ach, przypomniałam sobie. Ale to jest tamto jeszcze z zimie.

Mieir: Być może, że się kryje z czemś.

(W chwili pokój Belski, Pani Żak:

Pani Żak: Panie Doktorze, prosze też. (Wskazuje pokój:)

Ks Bel: Pani mieli tutaj zostanie. (do Miri) Proszę pana za mną. (Wchodzą do pokoju Alfusi)

Pani Żak: Jedynego syna miałam i straciłam go. Dlaczego? (z rozpaczą) Powiedzcie mi dlaczego?

Pani Żak: Mieli się pani uspokoji. Takie jest - może go uratuje.

Pani Żak: (płacze) Dlaczego on się bił? Dlaczego pozbawiał się życia.

Pani Żak: Nie płaczmy nadzieji. On może będzie jeszcze żył.

Pani Żak: (głośno) Może będzie jeszcze żył.

Ks Bel (z płaczem do Miri) Idźcie kuje pani za asystencje.

Pani Żak: Panie Doktorze! Mój pan!

Ks Bel: (robi pierwszy pacierz pokorna)

Pani Żak: Czemu go pan nie ratuje?!

Ks Bel. (milczy)

Zof: Panie, ratuj go pan!

Ks Bel: Pani, my tutaj tylko chorych
leczymy moimi. — Już zapóźno.

Pani Żak. (staje w drzwiach pokoju Alfreda, otwiera je i patrzy do środka.
Patrzcie się jaki on blady, jakie
on ma czarne plamy na
twarzy. Patrzcie się na jego
oczy otwarte. (z obawą) Jak on się
strasznie na nas patrzy.
Zamknijcie mu oczy. Kto mu
pójdzie zamknąć oczy? (wchodzi mu
pusha z miejsca) Boicie się? Ha, ha,
czego wy się boicie? Mojego syna?
Mojego umiejącego syna? Ha, ha, ha!

Ks Bel (idzie wejść do pokoju Alfreda)

Pani Żak: Precz! Niech nikt do mego nie

odwoji. Niech się go nikt nie dotyka.
Ja, matka tam pojdę. Ja się go
nie boję. Ja mu oczy zamknę. (wychodzi)

Józ: Panie doktorze czym on się otruł?

Dr Bel: Cyankiem potasu. Znalezł naszą pigułkę
nasennikową. Już drugi raz jestem
przy nim wzywany do samobójcy. Przed
pół godziną otruła się niejaka
panna Morska tą samą trucizną.

Mieczysław (do siebie - zapamiętawszy się) Więc on się tylko
zbyt pośpieszył.

Józ: Jakto - pospieszył się? co to znaczy?
Pan coś wie!

Mieczysław: Zdaje mi się, że on właśnie
owej panny Morskiej się obawiał.

Dr Bel: W jakich okolicznościach on to zrobił?

Mieczysław: Był niespokojny, jakby kogoś

otwierał. Dzwonek wnotowy zadzwonił, służąca weszła do pokoju i powiedziała, że jakaś pani chce się z nim widzieć. W tedy on wyszedł tam do pokoju i — weszła pani Wic.

Józ: Weszła owa pani i podała mu oto list. Powiedziała, że od przyjaciółki.

Dr Bel: Aha! Zaczyna się rzecz cała powoli wyjaśniać. (Wchodzi pani Żak:)

Pani Żak: (spokojnie) Cicho bądźcie. On śpi. Tak spokojnie śpi. Nie przeszkadzajcie mu. Nie budźcie go. (ponuro) Zamykałam mu oczy, ale powieki ciągle się podnoszą. A on patrzał się na mnie tępo, strasznemi, przerażonemi oczyma. (śmieje się) He, he! I śpi z otwartemi oczami. Patrzę

się jak on umieszczę śpi.
Ha, ha, ha! (Patrzy do pokoju) On chce wstać
i mię może się poruszyć. On tu chce
wejść. (przerażona) Ja się go boję! —
Nie! ja się go nie boję. To mój
syn: (wchodzi do pokoju Arpa Stasiej) To
mój umarły syn.

Bel: Biedna kobieta, została pomieszanie zmysłów. Muszę się za teleportem zaraz do zakładu Na obłąkanych aby przysłali karetę po nią. (do Muer) Może pan będzie tak dobrym?

Muer: Jestem do usług. W tej chwili ide. (do żony) Pani, przyjmij moje najszczersze współczucie po stracie jej narzeczonego.

Żon: Możemy sobie oboje kondolować.

Pan straci przyjaciela.

Mieczysław: (klania się) Żegnam panstwo. (wychodzi)
(Chwila milczenia. Dr Belski spaceruje po pokoju. Głos pani Zak: z pokoju Alfa)
Przestań czy Ci się już nigdy nie odmieni?

Józef: Ach, jakie to straszne.

Pani Zak: (z pokoju) Kto zabił mojego pieska?
(Wbiega do pokoju przestraszona służąca)

Służąca: Co się stało mojej pani?

Dr Bel: Pani zasłabła. Będzie ją trzeba odwieźć do szpitala.

Służąca (załamując ręce) Biedna pani! (wychodzi prędko z pokoju)

Pani Zar. Muszę ją pocieszyć. Jak przyrzekam... przepraszam. (wychodzi)
(Dr Belski spaceruje po pokoju. Józio płacze).

Dr Bel: Niech pani będzie spokojna.
Stało się. Naprzód no rozpocząć!

Zop (wybucha płaczem)

Dr Bel: Gdzie ten list? Może go otworzyć?

Zop: Dobrze.

Dr Bel: Ale przestrzegam, że może się
pani czegoś nieprzyjemnego
dowiedzieć.

Zop: Jeśli mi teraz wszystko obojętnem.

Dr Bel: Więc list ten pęka, otworzyć?

Zop: Tak.

Dr Bel (otwiera list · czyta cicho)

Zop: Niech pan głośno przeczyta.

Dr Bel: Dobrze! Dowie się pani czegoś
co wpuci cierpienie na
panienkę smutnego.

Zop: Tem bardziej chce wiedzieć.

Miał być moim mężem. Chce
o mim teraz wszystko wiedzieć.
Cały ten fakt jest dotąd dla
mnie nie wytłumaczoną
zagadką.

Dr Bel: Mamy teraz rozwiązanie tej
zagadki: prosze słuchać. (czyta)
Alfredzie! Nie chce być przeszkodą
na drodze do Twojego szczęścia.
Rozwam się. Ty bądź szczęśliw-
szym ode mnie. Nie radzę mnie -
zapomnij! Dziecko nasze, dziecko,
którego ojcem jesteś Ty, powsta-
wiam opiece Twojej i Twej przyszłej
żony. Jeżeli ona cię kocha,
kochać będzie i Twoje dziecię.
Wychowujcie je i kochajcie.

182

90
18

108

38
30

68
+15

83

108
83

191